

**Katarzyna A. Urbanowicz**

**JAKIE JEST IMIĘ TWOJE**

© Katarzyna A. Urbanowicz  
[www.fantastykapolska.pl](http://www.fantastykapolska.pl)

redakcja techniczna  
[www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

Pewnego deszczowego poranka czarownica uświadomiła sobie, że nie zna swojego imienia. Tak, oczywiście, wiedziała doskonale, jak ją nazywają, a nawet jak wołali na nią, gdy była dzieckiem, ale przecież nie można tego nazwać Imieniem Czarownicy. Wszak nawet powszechne zapytanie o imię brzmi: jak cię zwą, a nie: jak się nazywasz. Uznała więc, że najwyższy czas odkryć swoje prawdziwe imię, którego nie nadano jej wyłącznie przez zaniedbanie, złą wolę lub niekorzystne okoliczności. Imię czarownicy określa przecież jej przeznaczenie. Wszyscy to wiedzą. Czuła się wystarczająco staro, żeby tego się wreszcie dowiedzieć.

Po jakimś czasie doszła do przekonania, że jest to najważniejsze zadanie na dzień dzisiejszy, o wiele ważniejsze niż wykopywanie oślizgłych korzeni z gliniastej ziemi, choć może mniej ważne, niż ugotowanie kapuśniaku z dużą ilością kminku... Ponieważ jednak zupełną miała gotowość z dnia poprzedniego, mogła w pełni się poświęcić poszukiwaniu swego właściwego imienia. Nie miała jednak pojęcia, od czego zacząć.

W okolicy ludzie świętowali; to był czas wiosennego zrównania dnia z nocą i wszyscy oddawali się z entuzjazmem wypełnianiu nakazów tradycji. Wszyscy z wyjątkiem czarownicy. Świętowanie dawno przestało ją bawić, zwłaszcza, że była sama i nie potrzebowała przed nikim udawać świątecznego nastroju. Mieszkańcy okolicy sądzili, że odprawia tajemne obrzędy, byli tego tak pewni, że nikomu nie przyszło do głowy zastanawiać się jakie to obrzędy może wykonywać w tej chłapie podstarzała czarownica. Młode kobiety kładły się w bruzdach pól z młodymi mężczyznami wierząc, że im intensywniej i z większą energią będą odprawiali starodawny obrzęd, tym plony będą lepsze. W tym dniu wszyscy przymykali oczy, jeśli para nie była poślubiona, a starzy, samotni właściciele pól próbowali znęcić młodych na swoje pola pieczołowicie ustawiając naczynia z gorzalką i chleb ze słoniną. Jednym słowem wszyscy, jeśli nie czynem, to nastrojem, skupiali się na świątecznych obrzędach.

Wszyscy, z wyjątkiem czarownicy. Tej zachciało się raptem wykopywać z ziemi jakieś bulwy, zamiast ceremonialnie je sadzić i wracać do dnia swoich narodzin w celu ustalenia imienia, które w czasie takiego święta nie było nikomu potrzebne. Cały sens świętowania zasadzał się bowiem na ściąganiu energii wszystkich dobrych duchów w celu wspomoczenia wzrostu, a nie absorbowaniu ich do cofania się w przeszłość i szukania przyczyn.

Jednak czarownica zatoneła właśnie w praprzyczynach. Znalaziono ją jako dziecko porzucone na rozstajnych drogach, co miało wskazywać na podwójne wykluczenie ze społeczności: raz jako znajde, dwa jako skutek czyjś przestępstwa, grzechu lub winy. Na pewno nie porzuciła jej tam matka, matki podrzucają swoje dzieci w miejscach, które dają im szansę przysparzenia: przed domami bogatych gospodarzy, w dworskich stajniach lub oborach. Na rozstajnych drogach wieszają psy, które zawiodły gospodarza, przyjmując kęsy od złodzieja, czarne koty, żeby nie przebiegły nikomu więcej drogi; zakopuje nowo narodzone potworki lub niemowlęta wszetecznych kobiet, które nie mają nic do gadania w swojej sprawie, zakopuje się też o północy przedmioty i omotujące je myśli, jeśli mają na celu zniszczenie kogoś przez czary. Tak więc żywe i zdrowe dziecko było zagadką: jest ono córką wszetecznej dziewczki czy czarownicy? Czy może obydwu naraz?

Jednak czarownica miała szczęście. Właśnie obrzędy wiosennego zrównania dnia i nocy ją ocaliły. Pewna para bardzo młodych ludzi wybierała się na pole jednego z gospodarzy, który obiecał im sowity poczęstunek, jeśli obrzędy odprawia w jego bruzdach. Zjawili się więc tam, ale czy dlatego, że zrobili to za wcześnie, czy gospodarz po prostu zasnął, ku swojemu zniecierpliwieniu nie zastali tam nic. Początkowo rozważali rozpoczęcie obrzędu przed otrzymaniem poczęstunku w nadziei, że jednak rolnik wywiąże się ze swoich zobowiązań, jednak dziewczyna była przeciwna. – Obiecanki cacanki a głodnemu w brzuchu burczy – przekonywała chłopaka. – Wstrzymaj się jeszcze trochę, mój kutasiku, znajdziemy coś lepszego.

To coś lepszego, to była sąsiednia wieś, bogatsza i ludniejsza. Może tam wyłożono na pola lepsze jedzenie? – Warto spróbować, nikomu się przecież nie spieszy, czyż nie tak, mój kutasiku słodki?

Ale w tej lepszej wsi konkurencja była większa. Pola były już pozajmowane, a jedzenie zjedzone i gorzalka wypita. Nieliczne pozostałości skrzętnie zebrane i umieszczone w bezpośrednim sąsiedztwie odprawiającej obrzędy pary, dla późniejszego pokrzepienia sił, (a czasem

nakarmienia własnych, głodnych dzieci). Młodzi więc radzi, nie radzi, wrócili. W święta obowiązywało chodzenie boso, zwłaszcza młode pary odprawiające rytuały; ludzie mieli dzięki temu lepszy kontakt z Pramatką i jej wysłannikami, ale ich bolały już nogi, poranione przez chaszczę i ciernie, wracali więc dłuższą, piaszczystą drogą, którą jeździły wozy. I tam, na rozstajach, dostrzegli płaczące niemowlę.

Początkowo ominęli je, chwilę później jednak chłopak zawołał do dziewczyny, że mogą zabrać dziecko i zrobić komuś psikusa, a w każdym razie ich gospodarzowi za to, że zmusił ich do porannego spaceru na głodniaka. Dziewczyna podchwyciła pomysł, a nawet poświęciła własną chustę owijając dość lichy odziane dziecko, aby nie zmarło przed czasem.

Przyszłość pokazała, że mieli rację zabierając dziecko i zostali za to suto przez los wynagrodzeni. Z powodu głodu pośpiesznie odprawili obrzęd, po czym powędrowali do chaty gospodarza z wyrzutami, że zapomniał o obietnicy, a oni tak zawiedzeni przez niego, doczekali się już dziecka i nie tylko sami dalej są głodni, ale i dziecka nie mają czym nakarmić. Ale właściwie dlaczego mają go karmić, skoro to on, gospodarz, jest jego właścicielem, bowiem dziecko urodziło się na jego polu? Widomy dowód, że niebieskie moce zsyłają mu szczęście! Obrzęd i zaraz poczęcie, a w ślad za nim narodziny!! Świętość na miejscu, od razu, bez oczekiwania! Wszak umawiając się z nimi onegdaj, widział, że dziewczyna nie ma brzucha. Bacz ino gospodarzu, żeby duchy nie obrażyły się na ciebie za obietnice bez pokrycia i za twoją niesłowność!

Chłop nie miał innego wyjścia. Musiał zastawić stół, wszystkim, co miał, wziąć dziecko i jeszcze do tego sięgnąć do ukrytego zawiniątka i wysupłać parę monet na nową chustę dla dziewczyny (swoją przecież oddała dziecku) i w dodatku obiecać im część swoich przyszłych plonów, jeśli nie chce, żeby śmiała się z niego cała wieś, a może i wsie okoliczne, drwiąc, że świętość trafiła na głupka, który nie potrafi jej docenić i próbował oszukać życzliwe duchy.

Trudno się więc nie dziwić, że czarownica nie czuła sentymentu do świątecznych obrzędów odprawianych wiele lat później. Zwłaszcza, że była już stara. A może – powiedziała do siebie, wracając myślą do czasu, gdy ją znaleziono – warto cofnąć się poza ten czas, odwinąć ze szmatek i omotujących myśli znalezione tam niemowlę, sięgnąć do jego praprzyczyny? Odpowiedzią na to i wszystkie, niewypowiedziane pytania mogło być tylko odkrycie imienia, prawdziwego imienia, którego jej nie nadano, prawdziwego przeznaczenia, którego jej nie odkryto, prawdziwego celu, dla którego przeżyła miotana możliwościami wynikającymi z pogody, przepuszczalności tkanin, w które niemowlę owinięto i niefrasobliwością młodych, którzy je zabrali. To wszystko tylko jednego świątecznego dnia kierowało jej losem, nie mówiąc już o następnych dniach i latach jej życia.

Czarownica postawiła na kuchni sagan z kapuśniakiem i siedząc na niskim stołeczku przed paleniskiem, zapatrzyła się w huczące i skaczące płomienie. Znowu była na rozstajnych drogach, leżała pod drzewem i falą szmatek zawieszonych na nim, powiewających na silnym wietrze, obok ścierwa czarnego kota i sterty śmieci, przykryta starym, bezlistnym konarem, który właśnie oberwał się z drzewa i szczęśliwie najcięższym końcem nie trafił w dziecko. W cieniu za drzewem nikła męska sylwetka w okryciu z powiewającymi połami, z głową okutaną kapturem i szalem, może po to, aby jej nie rozpoznano. Mężczyzna poruszał się szybkim krokiem, prawie biegł, jednak ruchy jego były zdecydowane i pewne siebie. Nie chciał być rozpoznany – spekulowała czarownica – ale nie wstydził się swojego postępu. Czyżby nie był ojcem? Zapewne – wnioskowała z jego ruchów – nie żywił żadnego szacunku dla matki dziecka i dla jej córki, ponieważ nie spełniały jego oczekiwań. Przez chwilę owionął ją zapach tego mężczyzny; niósł ją przecież na rękach; zapach wilgotnej wełny, niezbyt znoszonego ubrania, nikła woń potu przyduszonego nieco mocniejszym zapachem przeżutego tytoniu i mięsa pieczonego z kminkiem i czosnkiem oraz uległego mu otoczenia. I zapach świętej wiary w coś wymyślonego przez siebie, tak nieodróżnialny dla otoczenia, a wyczuwany bez wątplenia tylko przez czarownice. Jeszcze nie inkwizytor, a już samozwańczy sędzia. Jeszcze nie kat, a już łowca odmienności. Wśród tych woni tylko woń kminku zdawała się czarownicy wonią obcą temu człowiekowi, pochodzącą od kogoś innego, słodką wonią spokoju, bezpieczeństwa i ciepła. – Może powinnam nazywać się Kminka? – zatopiła się w tej woni, usiłując wrócić wstecz, do czasu, zanim znalazła się na rozstajnych drogach.

Z latami wyszła z wprawy w czarowaniu. Dawniej nic ją nie rozpraszało, jeśli postanowiła

nad czymś się zastanowić; myślała wówczas tak intensywnie, że budziła się czasem dopiero następnego dnia, głodna i zmarznięta. Teraz jednak, od lat już nie czuła w sobie takich zdolności. Czas skupienia mierzył się jednym lub dwoma spalonymi polanami, a nie wygaśnięciem pieca. I byle co potrafiło ją zbudzić (jeśli nawet jeszcze nie dotarła do kresu zagadki). Tym razem była to młoda, ładna dziewczyna, z mokrymi włosami, przylegającymi do głowy i w nieuporządkowanym ubraniu.

– Pomóż mi – łkała dziewczyna – jeśli mi nie pomożesz pozostanie mi tylko powiesić się na rozstajnych drogach.

Resztę jej słów zagłuszył płacz i jęki. Możliwe, że nie chciała nic dalej opowiadać, chciała tylko, żeby ktoś się nad nią użalił i prosił aby mu powiedziała, co jest przyczyną tych szlochów, a ona, po jakimś czasie, wzbudziwszy litość i ciekawość, zwierzyła by się ze straszliwej historii, która była zwykła i nudna, i zwietrzała tak, że nikt z otoczenia nie chciał jej już słuchać.

– Pst – czarownica nie była wcale skłonna litować się na zapas, ale lubiła wiedzieć, z kim ma do czynienia – pst, bo przestraszysz moją żmiję, właśnie rozgrzewa ją ogień i robi się bardziej zwawa, niedługo ma dostać świeżutką mysz, a nie cierpi oczekiwania.

Dziewczyna szlochała nadal, czarownica nie poddając się postanowiła więc nadal badać siłę jej rozpacz.

– Właśnie wczoraj zdechł mój stary kot i zastanawiam się, czy nie poczęstować kawałkiem mięsa mojej żmii. A ty co o tym myślisz? To dobre mięso, właśnie gotuję na nim zupę, powinnaś się rozgrzać, moja droga, jesteś zmoknięta i prawie zamarznięta. Najpierw zjemy coś, najlepiej gorącą zupkę; kot tak lubił mrużyć za życia, że jego słodkie mruczenie musiało przejść do smaku potrawy; a potem porozmawiamy, dobrze?

Dziewczyna skinęła głową i dalej szlochała.

– No patrzcie ludzie! – czarownica była pełna podziwu – Co za wzorowe posłuszeństwo! – mruknęła. – Przynieś dwie miski, są tam na półce – zażądała głośno. Dziewczyna zerwała się i wypełniła polecenie. – Aż ty niemoto – myślała czarownica – nic dziwnego, że szlochasz. Źródłem wszelkich nieszczęść zawsze było posłuszeństwo. Zwłaszcza nadmierne. Jak jeden robi głupotę, ujdzie jakoś. Ale gdy inni go posłuchają... Trudno się dziwić, że nażrą się potem zdechłych kotów! I na zakończenie płaczą, ale nie zapomną posłuchać się innych, byle śmiało rozkazywali.

– Nie podobały ci się uroczystości? – zagaiła czarownica, gdy siedziały nad miską kapuśniaku, w której, (zdradzę wam tę tajemnicę) nie było nawet kawałka zdechłego kota.

– Co miało mi się podobać? Że gospodarz kazał iść na pole synowi z dziewczuchą sąsiada?

– A tobie się podoba syn gospodarza? – dopytywała się czarownica, z góry sądząc, że wie, jaką otrzyma odpowiedź. – Jaki świat jest prosty i oczywisty – konstatowała w duchu. On, ona i wszyscy inni, wrogowie, oczywiście.

– Co ma mi się podobać lub nie?! To mój mąż!

– To dlaczego posłuchał ojca?

– A jak miał nie posłuchać? – No tak! Jak miał nie posłuchać! – Czarownicę już znudziła dziewczyna, wolałaby wrócić do swoich rozważań nad imieniem, a nawet do wygrzebywania bulw z mokrej ziemi. Wszystko było lepsze niż słuchanie i użalanie się nad tą kretynką. Ale była czarownicą i miała przed sobą klientkę, co więcej synową gospodarza, nie mogła więc traktować jej tak, jak na to zasłużyła. Już wiedziała: za swoje usługi zażąda woreczka mąki, gomółki sera, no i może jeszcze skopka śmietany.

– Dlaczego twój mąż się zgodził? Nie kocha cię? Romansuje z tamtą? Bał się ojca?

– Eee... Nie o to chodzi. Tamta ma więcej ikry, jak mówi gospodarz, więc obrządek będzie lepiej wykonany. I plony będą lepsze.

– No, a ty, co chcesz, żebym zrobiła?

– Podobno... tak mówią... że masz swoje takie różne... sposoby. I bym chciała, żebyś coś zrobiła... żeby... żeby...

– Żeby tamtą pokreć – ze znużeniem podpowiedziała czarownica patrząc jak dziewczyna skręca w palcach swoje ucho.

– Nie, skądże!

– Więc czego chcesz moje dziecko? Na nowo zdobyć męża? Omotać teścia? Czy coś równie głupiego?

– Chcę uciec stąd. – Włosy dziewczyny podeschły w ciepłe strumienia powietrza płynącego od pieca i teraz, pełne życia, podskakiwały w takt jej słów, jakby to one wydawały dźwięki, a nie jej usta. – Teraz mój mąż zakocha się w dziewczynie, teściowi podoba się jej pole, każe mu więc wziąć ją za drugą żonę, potem ona będzie miała dziecko, potem ja będę miała dziecko i kiedyś na podwórzu...

– Czekaj, czekaj – zawołała czarownica przerażona pędem jej słów – czy kto może przewidzieć takie rzeczy?

– ... na podwórzu jej syn uderzy kamieniem w głowę mojego syna – ciągnęła jakby nie słyszała słów czarownicy – i zabije go. A mój i jej mąż weźmie jej stronę i będą z ojcem mówili, że to moja wina, bo nastawiałam z zazdrości dziecko przeciwko rodzinie... Dzięki temu moje pole przejdzie na własność gospodarza, pozostanie mu także jej pole, a spadkobierca będzie tylko jeden i w dodatku z rodziny bogatszej i ważniejszej. Zapłacą grzywnę za jego wybryk, ale i tak wygrają. A ja...

– No więc, gdyby ją teraz pokręciło – zauważyła sceptycznie czarownica – rozwiązałoby to wszystkie twoje przyszłe problemy.

– Nie – odparła z przekonaniem dziewczyna – bo miałabym ze swoim mężem dziecko, które zawsze pakować się będzie w kłopoty, które będzie ciągnęło do złego, które nie będzie miało szacunku dla matki, na starość będzie mnie biło i wyzywało, a takiego dziecka nie chcę. Nie kochać męża i nie kochać dziecka, nie lubić teścia i teściowej, to stanowczo zbyt dużo dla mnie.

– Skoroś taka mądra teraz – złośliwie zauważyła czarownica – to czemu w ogóle wyszłaś za tego człowieka, z jego ojcem i matką, ziemią, sąsiadką i wszystkim w kupie? Nie wiedziałaś wtedy jak to się skończy? Tak daleko nie sięgasz przewidywaniem w przyszłość?

Dziewczyna milczała. Po chwili z ociąganiem wyszeptała:

– Jeśli mi pomożesz, znajdę twoje imię.

Pewność siebie czarownicy ulotniła się. Znowu była starą kobietą, której nie chciało się świętować, nie chciało się kopać bulw, nie chciało się niczego właściwie i która czasami wymyśla sobie cele nie do zrealizowania, żeby nie być samotną i zagubioną. I która oczywiście nie oczekuje, że ktokolwiek jej te cele pomoże zrealizować. I nie chce, żeby ktoś obcy nawet minutę wcześniej niż ona poznał jej imię.

Udając że nie usłyszała szeptu, ciągnęła nieco tylko bardziej życzliwie:

– No dobrze, uciekasz. I co cię czeka podczas ucieczki? To każdy, bez żadnych nadprzyrodzonych zdolności, może zgadnąć. Głód, chłód, tułaczka, w najlepszym razie służba. Zły pan i głupia pani. Złośliwa służba. Wredne, plotkujące baby i zazdrosne, brzydkie dziewczyny. Albo chłopaki biorące dziewczuchy przemocą. I nie masz żadnej pewności, że nie urodzisz już dziecka i że twoje dziecko, choć z innego mężczyzny, nie przejawia kiedyś morderczych skłonności, albo nie będzie chore, niedołożne, głupawe i tak dalej. Żadna kobieta nie ma takiej pewności! Może to zło tkwi w tobie, a nie w nim? Skąd możesz wiedzieć?

– Ja wiem, że kiedy ucieknę, nie będę miała dziecka. Żywego.

– Skoro wiesz – wyrwało się czarownicy – to po co żyjesz? Wiesz dlaczego starzy ludzie muszą umrzeć? Bo wszystko już widzieli, wszystko przeżyli, wszystko przeczuwają. No, mogliby żyć jeszcze o dziesięć czy dwadzieścia lat dłużej i koniec. Nic nie da się zrobić, żeby czuli jak młodzi i nieświadomi tego, co ich spotka. Nawet, gdyby byli zdrowi i tak nie chcieliby dłużej żyć. A ty się pchasz do tej wiedzy, jak mucha do smoły, którą wzięła za miód, bo ciemna i lśniąca! I po co ja ci jestem potrzebna, skoro już wszystko podobno wiesz! Powieś się od razu, bo tak czy tak, nic dobrego cię nie czeka. Królową na pewno nie zostaniesz!

– Bo odkrycie twojego imienia jest konieczne, żebym i ja odmieniła swoje życie. Ja znam imię tej, od której zależy mój los, a o tobie wiem tylko to, że nazywają cię czarownicą. I że nie znasz swojego imienia, ale o tym dowiedziałam się dzisiaj rano, gdy biegłam bez celu i wpadłam do twojej chaty ogrzać się i uspokoić.

– Co za szczęście, że ja nie potrzebuję ciebie, tylko ty mnie. Wracaj do domu mała, i radź

sobie sama. Świat jest pełen tych, którzy wiedzą wszystko naprzód, i czasem może nawet mają rację, ale nie stać ich na to, żeby sami za to odpowiadali. Jeśli się wykruszysz – tym lepiej dla świata.

Czarownica czuła lekkie wyrzuty sumienia, że splawiła dziewczynę, ale wcale nie miała ochoty ruszać w jakąś podróż i pomagać komukolwiek w ucieczce od czekającego go, (bądź nie) losu. Ostatnim razem, kiedy ruszyła się z domu z małą dziewczynką, uczeploną jej torby, straciła swoją, nie całkiem jeszcze najgorszą chałupę i o mało nie skończyła, jako nieboszczyk dyndający na gałęzi wielkiego dębu, nie mówiąc już o tym, że zamordowała całkiem nieszkodliwego człowieka (który tylko czasami bijał żonę i dzieci). W starszym wieku po raz kolejny musiała zaczynać wszystko od nowa, a nikt tego nie lubi. Poza tym, nie wierzyła dziewczynie ani trochę. W jej snach, przed kilkoma dniami, pojawiło się ostrzeżenie: w dziwnej świątyni niepodobnej do niczego, co znała, stała deska bardziej szeroka niż wysoka, podobna do tafla wody oświetlonej słońcem, cała jaśniejąca własnym, niezwykłym światłem, a na tej wypolerowanej i świecącej desce pokazywały się ciemne znaki i obrazy. Siedząca przed nią istota, podobna do kobiety, choć dziwnie odziana, wpatrywała się w jaśniejące obrazy, które przywoływała dotknięciem palców. Jej jasne, prawie białe włosy, błyszczały w do niczego niepodobnym świetle, znacznie silniejszym niż jej znane. Dziewczyna szeptała: – Jestem szczęśliwa, mam co chcę, mam wspaniałego i mądrego chłopaka i mogę tu siedzieć, gdy on śpi. Jestem tu i nikt niczego ode mnie nie chce. Tylko dlaczego ciągle na coś czekam? We śnie czarownica zbliżyła się do postaci i w jednym z obrazów na ekranie rozpoznała swoją wioskę, widoczną ze wzgórze i swoją rozpadającą się chałupę na jego zboczu. Ona sama kuciała na polu, a ręce miała zajęte wyrywaniem bulw. W pewnym momencie obraz poruszył się, czarownica w nim odrzuciła bulwy na bok, ciężko wstała i zamyśliła się. – Jakie jest imię moje? – zapytywał głos w jej głowie i obudziła się cała w zapachu kminku, choć od jego zbiorów minęło już pół roku i pęki zawieszane na ścianie nie pachniały już tak mocno. Była pewna, że w tej chwili dziewczyna zasnęła. Ona też nie znała swojego imienia, każdy wołał na nią inaczej: mąż mówił: moja żono, syn: mammo; matka: córciu. Tylko we śnie ktoś wołał do niej: powiedz, jakie jest imię twoje?

\*

Czarownica też kiedyś miała dwadzieścia lat. Wydano ją za mąż nie pytając o zdanie, a może nawet pytając, kto to pamięta? – będąc pewnym, że zachowa się rozsądnie. I zachowała się rozsądnie. Ale czarownica nie była wówczas czarownicą, a zwykłą dziewczyną, znajdującą z rozstajnych dróg, która wiedziała, że jej opiekunowie mają dość zajmowania się narzuconą im złośliwie córką, dziwną, całkiem odmienną od rówieśnic. Dziewczyną z błota – jak o niej mówiono – choć oficjalnie przecież wzięła się ze świętego obrzędu, odprowadzającego w żyznej bruździe...

Czarownica (nie będąca jeszcze wtedy czarownicą) sądziła, że poddanie się oczekiwaniu otoczenia, pełne wtopienie się w świat, w którym żyła, uzasadni jej istnienie. Chciała być najlepszą gospodynią, najpracowitszą kobietą i najwspanialszą żoną, a w swoich wysiłkach tak przegoniła wszystkie inne kobiety, że zamiast uznania otoczenia, pogłębiła tylko jego nienawiść. Przybrani rodzice wcale nie oczekiwali, że będzie w czymkolwiek dobra, przeciwnie chcieli, żeby jak najprędzej zeszła im z oczu, – a jeśli miała już się przed nie nasuwać, o co mieszkając w jednej wsi nie było trudno – powinna być zła, leniwa i ślamazarna, żeby mogli ją krytykować, a o sobie myśleć, że wykazali w stosunku do niej tak dużo cierpliwości, jak nikt inny. Mąż wcale nie potrzebował dobrej żony, potrzebna mu była wtedy, gdy był wściekły na cały świat i musiał się wyładować na kimś, czyj los nikogo innego nie obchodził. Sąsiadki wcale nie chciały, żeby ktoś uważał inną kobietę za dobrą gospodynię, przeciwnie, potrzebowały kogoś do krytykowania i wyśmiewania i przynajmniej w części osoba ta musiała na krytykę zasługiwać. To one miały być wspaniałymi gospodyniami, a nie jakaś dziewczyna z błota!

Czarownica (która nie była jeszcze wtedy czarownicą) szybko to zrozumiała i natychmiast zaczęła postępować tak jak inni i zachowywać się, jak tego od niej inni oczekiwali. Nie była ani dobra ani zła, posłuszna ani sekutnica, pracowita ani leniwa, ładna ani brzydka. Nie dość jednak, że nie dawało jej to żadnej satysfakcji, w dodatku nie było tak perfekcyjne, jak chciała. Ludzie swoje

zawsze wiedzieli, że jest odmieńcem i tyle. Czy leniwa, czy gospodarna, czy kochająca żona, czy kłótnica, wszystko jedno i tak jej nie znosili. W końcu pogodziła się z tym i tylko marzyła, żeby gdzieś indziej zacząć wszystko od nowa i spróbować, a nuż się uda być kochaną, szanowaną i stawianą za przykład. Uciekła więc ze swojej wsi, ale nigdy nie udało się jej zrealizować swoich zamierzeń. Zdziwaczała więc po latach naprawdę, zaczęła bawić się w czary, aż wreszcie zrobiła z nich swoje główne zajęcie. Choć taka doświadczona i jako czarownica skuteczna, nie odgadła nigdy, że sukces przynosiła jej znajomość natury ludzkiej, a nie czary. Przeczuwała jednak, że gdzieś w świecie płacze się jej imię i tylko, gdy je odnajdzie, stanie się prawdziwą czarownicą. Ten sen wyzwolił w niej nagłe pragnienie, niezrozumiałe ale przemożne. Czula dziwne pokrewieństwo z dziewczyną ze snu, dziwadłem zrodzonym z jej sennych fantazji albo zawirowań niezdrowego, mglistego powietrza.

Nic więc dziwnego, że odrzuciła inną dziewczynę, tę wiejską sąsiadkę, Kerę. Ze swojego doświadczenia wiedziała, że ucieczka nigdy nie daje oczekiwanego skutku, człowiek wlecze za sobą swoje kłopoty, jak rzepy przyczępione do skraju spódnicy, dając wbrew swojej woli początek nowej roślinie, w zupełnie nowym miejscu. Spełnienie obrzędu w bruździe pola nigdy nie jest początkiem, a zawsze końcem nowego życia; świat przecież zawsze się w końcu zamyka, a nie otwiera. Czarownica zupełnie nie wierzyła w inną możliwość przewidywania zdarzeń niż kalkulowanie, a kalkulując, wszystkiego nikt nie jest w stanie zgadnąć i oczekiwać. Opowieści tej rozczochranej Kery, z jednym czerwonym uchem od ustawicznego skręcania, mogły więc świadczyć tylko o tym, że jest zapatrzona w siebie, przekonana o swoich talentach i możliwościach, a takie zadufane wariatki czarownica, już na swoim przykładzie, dawno rozgryzła i zdemaskowała. Należy dodać, że wręcz kochała przekłuiwać rybnie pęcherze i ludzką pewnością siebie. Nie doceniła jednak determinacji tamtej.

Rano, wychodząc za próg chałupy dostrzegła dziewczynę, owiniętą w derkę i śpiącą na jej progu. Potknęła się o nią i nawet przewróciła, jednak, zamiast być złą, odczuła ulgę. Mogła sprawdzić, choć nie wierzyła w to, czy możliwym jest takie przewidywanie przyszłości, jakie pokazała tamta. Jeśli było możliwe – ona pierwsza powinna to wykorzystać. Uzupełniałyby się: ona ze swoim rozsądkiem, tamta z wiarą w możliwości. I durnym zadufaniem. Na tym można już budować swój los. Co zresztą szkodzi spróbować? Miała nadzieję, że może tej Sennej — dziewczynie widzianej we śnie, potrafi podpowiedzieć coś w kolejnym śnie, co jej pomoże. Tak jakby tamta też czekała na jej imię, żeby zrozumieć. Z głębi snu przesyłała jej swoje imię, ale czarownica nie potrafiła go zrozumieć. Tafla nieznanego bóstwa przeszkadzała, promieniując ostrym światłem i szumem podobnym szumowi wiatraka na wietrze. Go...Goooo..

A tu, przed jej progiem, czekała inna dziewczyna, pełna przekonania o własnej umiejętności odgadywania przeznaczenia, pozbawiona wszelkich wątpliwości czarownicy; możliwe, że ta jej droga była drogą prawdziwą i słuszną. Czarownica wolałaby sama dojść do swojego imienia, ale jeśli dziewczyna rzeczywiście umiała przewidywać przyszłość, jej pomoc bardzo by się przydała. Człowiek wyłoniony z zapachów, ginął w mroku i czarownica nie umiała go już przywołać. Cóż miała więc zrobić, jak nie zebrać swoje małe warte drobiazgi w węzełek i nie spróbować pójść za nią, za przeznaczeniem, które obiecywało odnaleźć imię zaszyfrowane w rozświetlonej tafli, w zapisie przestrzeni jak ze snu. Tylko nie trzeba myśleć o tej innej, opuszczonej dziewczynce, której zło trzeba było ośwoić, o jeszcze innej, poznanej we śnie, której anioł pomylił się z oprawcą, a komary zwiastowały wybawienie, i której przyszły los zależał od politycznej linii aktualnej władzy, cokolwiek by oznaczały te dziwaczne słowa, przywołane nieokiełzaną myślą, ani nie wolno wspomnieć gorzkiego zapachu dymu o zmierzchu wieszczącego przeznaczenie. O wielu rzeczach należało zapomnieć, przynajmniej na chwilę. Po prostu rusz przed siebie i nie oczekuj niczego nadzwyczajnego – strofowała siebie czarownica. – Jeszcze jesteś. Nawet jeśli niektórzy mówią, że ciebie nie ma.

\*

Po kilku dniach wędrówki ich oczom okazał się solidny, świerkowy dwór, jaśniejący białymi, ociekającymi sokami balami, rozkraczony niczym wielki, obnażony wrzód między wzgórzami, z dachami pokrytymi pokrzywionymi, zbyt szybko pociętymi wilgotnymi deszczułkami. Zapewne

znowu król nadał komuś nowe ziemie, zabrane innemu, za zasługi niezrozumiałe dla nikogo, kto trochę żył już na tym świecie. W takim dworze szukano zawsze dziewczyn w kłopotach, gotowych pracować ponad siły i nie domagać się niczego w zamian poza jedzeniem i spaniem. I chętnie widziano nowych przybyszów, ponieważ starzy mieszkańcy odnosili się do nowych panów nieprzyjaźnie; związani ziemią i losem z dawnymi, jeśli nie musieli, nie zdradzali ich, a pokłony oddawane nowym zawsze były powściągliwe. Lud, chociaż nikt się z nim nie liczył, inaczej oceniał zdradę niż jego nowi panowie: dla ludu stary pan był tym właściwym, rzeczywistym, a nowy zdrajcą.

Kera trafiła zaraz do kuchni, gdzie brakowało zawsze dziewczyn z powodu nadgorliwości i wielkich wymagań głównej kucharki. Stara czarownica, cicha i niepozorna, o oczach szarych jak mglisty świt, ze źrenicami czarnozielonymi niczym grzbiet starej ropuchy, ofiarująca znajomość ziół na bolące oczy i dech zamierający w piersi, była dodatkiem wartym miski zupy i pozostawienia jej w spokoju. W dzień pomagała tu i tam, opiekowała się chorymi, snuła płaczącym dzieciom bajdy i rozmawiała z nimi, z kotami i kurami, jakby była głupia. Nie była jednak taka. Wieczorami przed paleniskiem opowiadała kuchennym dziewczynom o pokręconych losach kobiet z dalekich krajów, o sposobach, jakich się imaly, by odwrócić złe przeznaczenie, jakiegokolwiek rodzaju by nie było i o sposobach, które można zastosować w zmartwieniu tu i w tej porze roku. Potem nocą przykucaly przy jej legowisku próbując dowiedzieć się czegoś, co im było teraz potrzebne, albo prosząc o radę, co zrobić, gdy boli ząb, albo kolano nie chce się zginać.

Czarownicy podobało się we dworze. W swojej chacie, w ostatniej swojej wsi, czuła się zmęczona i zniechęcona. Na ogół nic tam się nie działo i dlatego wiedziała, że popada w lenistwo i ociężałość. A to niedobre dla czarownicy i szybko może się na niej zemścić. Niejedna spłonęła na stosie, bo za długo siedziała w jednym miejscu i pozbyła się lęku. A przecież każda czarownica powinna wiedzieć, że lepiej nawet zrywać się w nocy z bijącym sercem, bo zły sen przybył, by sprawdzić jej ostrożność, niż zasypiać zmęczonym pracą, ale najedzonym i uspokojonym.

Nie zapomniała jednak o swoim najważniejszym zamiśle – odgadnięciu, ile jest prawdy w rojeniach dziewczyny. Swoje imię odkładała na później. Można żyć bez imienia, ale czyjeś rojenia mogą łatwo stać się niebezpieczne.

Któregoś dnia czarownica zobaczyła idącego drogą małego żebraka. Zatrzymała go pytając dokąd i po co idzie. Nie potrafił odpowiedzieć na jej pytanie: ot, szedł przed siebie, za swym losem, a nuż coś się gdzieś dobrego dlań nadarzy. Spytała go jeszcze, czy wie, gdzie zatrzyma się na noc, ale też nie wiedział. Może tu, w tym dworze, jeśli mu ktoś pozwoli, a jeśli nie, to w następnym. Albo, jeśli nie będzie padać, prześpi się na gałęziach w jakimś wykrocie. Czarownica kazała mu zaczekać, aż spróbuje znaleźć mu coś do jedzenia i spyta ochmistrzyni, czy pozwoli mu przespać się tej nocy na sianie. Zanim jednak poszukała jej, zawołała Kerę i pokazała chłopca.

– Jak myślisz, co będzie robił tej nocy? Ochmistrzyni pozwoli mu tu zostać na noc, czy będzie musiał iść sobie?

– A co mnie to obchodzi! – burknęła Kera, zajęta przebieraniem zgniłych kartofli z kopca.

– Mnie obchodzi, a ty pokaż, że umiesz przewidywać czyjś los!

Kera była zła i czarownica wiedziała od razu, że dlatego, bo nie ma pojęcia, co odpowiedzieć. Może rzeczywiście przewiduje tylko losy tych, którzy ją obchodzą, albo którzy są z nią blisko związani. Albo myśli o czymś innym i nie ma głowy do przewidywań? Trzeba spróbować innym razem. Jednak nadarzyła się okazja pokazać swoją wyższość, czarownica więc skłękła Kerę, zmieszała ją z błotem, tak się bowiem robi w tym świecie, jeśli ma się okazję, no nie? Z tym wszystkim zapomniała o małym włóczędzie, który się gdzieś ulotnił i ona też nie wiedziała, czy i gdzie znalazł nocleg. Mógł nawet spać w gospodarstwie, przykryty stertą siana i nikt by o tym nie wiedział. W każdym razie nie nawinął jej się na oczy.

Mimo to czarownica poważnie rozważała już powrót do swojej wsi i chałupy, gdy pewnego dnia pani zaniemogła, a w całym dworze rozniosła się pogłoska, że to od otrucia. Miała okropne bóle, wymiotowała i bredziła w męczarni. Z doświadczeniem starej kobiety czarownica wyczuwała zbliżające się kłopoty i zastanawiała się, jak im zaradzić. We dworze były obce, niewiele trzeba było, żeby na nie padło podejrzenie. Czarownica znała się na ziołach, dziewczyna



pracowała w kuchni, cóż łatwiejszego niż czegoś wsypać lub dolać do potraw przeznaczonych dla pani! Nikt nie pomyśli, że niedaleko, na obrzeżu cmentarza rosły cisy, żywopłot pełen pięknych, czerwonych jagód. Starczy jedną czy dwie dodać do napoju, stojącego w dzbanie... Każdy może to zrobić. Niekoniecznie obcy. Oczywiście nie przyjdzie też nikomu do głowy, że czarownicy ani Kerze nie może zależeć na śmierci pani, która w ogóle nie zwracała na nie uwagi. Co by miały przez to zyskać? Ale ludzie tak nie myśleli, szukali zawsze winnych wśród tych, co im pasowali, co nie byli im potrzebni albo mogli potrzebnych zastąpić.

Najprościej dla nich byłoby uciec ze dworu, ale szybko je by złapano i wtedy nikt nie słuchałby ich wyjaśnień. Nawet nie chciały, bo po co komplikować sobie zadanie! Czarownica zdawała sobie sprawę, że najlepiej byłoby znaleźć winnego lub winną, bez żadnych wątpliwości, ale była świadoma tego, że bardzo mało z Kerą wiedzą o dworze, o pokrewieństwie mieszkających tam ludzi, o ich niechęci, zazdrości, walkach, podgryzaniu konkurentów do łask pana czy pani, jednym słowem, o całym tym podskórnym życiu, w którym orientować się może tylko ktoś, kto dłużej w miejscu takim przebywa. A niewiele wiedząc – może trafić na znowę, której nikt nie da im odkryć ani opanować. Trzeba było jeszcze dodatkowej przebiegłości, żeby wywinąć się z opresji. Pierwszą myślą czarownicy było zapytać o jej przeczucia Kerę. To są sprawy, które osobiście jej dotyczą! Ktoś taki, jak ona, znający nawet tylko swoją przyszłość, powinien doskonale wiedzieć o wszystkim, ba, powinien przewidzieć chorobę gospodyni i umieć jej zapobiec. Ale przede wszystkim nie zatrzymywać się tu, w tym dworze i pakować w kłopoty, tylko pójść dalej w poszukiwaniu innego miejsca. Zła, że choć przez chwilę uwierzyła w zdolności dziewczyny, czarownica jednocześnie odczuła satysfakcję na myśl, że podejrzewała w tym jakieś oszustwo i że oszustwo to się tak szybko wydało. Nie zdziwiła się więc ani trochę, kiedy okazało się, że Kera całkiem nie wyczuwa niebezpieczeństwa. A tymczasem ono gromadziło się nad ich głowami, zwisało niczym ciężka chmura smrodliwego powietrza, rozbełtanego wieczorną, zgniłą mgłą. Czarownica jęła sobie przypominać wszystkie podobne zdarzenia, obmyślać swoje i Kery postępowanie, na razie jednak zasyłała się w kurniku oczekując na to, co się wydarzy. Kobiety widziały jak rozmawiała z ptakami, jak w odpowiedzi na jej ciche pomruki stroszyły pióra, trzepotały nimi gubiąc białe płatki i jak czarownica skrzętnie je zbiera i zawija w szmatkę.

Wydawała się wszystkim zajęta wyłącznie tym, ale ona widziała jak złapano Kerę, omotano jej ręce i nogi szmatami, że złości wylano ze dwa nocniki wyniesione z piętra, zamieszkiwanego przez pana i panią oraz ich dzieci i solidnie pobito leżącym opodal kijem. Na szczęście nie zauważono motyki i innych równie niebezpiecznych narzędzi, bo los Kery mógłby być gorszy. Co i raz ktoś zerkał na kobietę w kurniku, która teraz porzuciła kury i rozpoczęła swoją rozmowę z kogutami. Dziwiono się, że nie reaguje.

Jednak czarownica postanowiła oddać się tylko obserwacji. I zastanowiło ją coś nie całkiem niespodziewanego. Pan wyszedł na majdan obejrzeć pojmaną i zamiast kazać zamknąć ją od razu w lochach, nakazał wrzucić do końskiego poidła, gołą, jak Pan Bóg ją stworzył, podtopić trochę, aby bezwładna nie próbowała się opierać, po czym przyjrzał się jej dokładnie, używając szkła powiększającego na wykładanym drogimi kamieniami trzonku. Niby szukał czartowskich znaków!

– No, mam cię – uznała z satysfakcją czarownica – już mi nie umkniesz durny jełopie, rozgryzłam cię wredny typie! Zaraz okaże się, kto jest mądrzejszy! Ja czy ty?! Starczy patrzeć na twoje łapy, żeby wiedzieć o czym myślisz!

Wieczorem, kłaniając się i płaszcząc, dostała się przed oblicze pana i całując jego brudne stopy w śmierdzących ciżmach, pokornie prosiła o posłuchanie.

– Panie – jęczała – nie masz pewności, kto twoją szanowną małżonkę nienawidził tak, żeby zadać jej truciznę. Czy ta Kera, popychadło, czy może inna kobieta? Małżonce już nic nie pomoże, trudno, taki jest już jej los, ustalony przez Wielkiego Ogrodnika Bogów, ale można złapać tę durną babę, która naprawdę sądziła, że jest mądrzejsza niż ty, panie i niż wszyscy, i że łatwo was oszuka!. Pozwól mi panie to uczynić, a nie zawiedziesz się, opoko twoich uczciwych poddanych! Ja ci oddam tego śmiecia, tę słomę wysuszoną nienawiścią, w twoje mądre ręce, abyś mógł zdecydować sprawiedliwie, jaki powinien być jej los. Nie potrzebuję nic więcej poza jednym, daj mi tylko pozwolenie aby zgromadzić wszystkich twoich ludzi przed obliczem szanownej chorej pani, a ja

dowiodę, kto jest winien i oddam go w twoje ręce. Abyś uczynić z nim mógł, co dyktuje Ci twoja chęć i sprawiedliwość. I co podpowiada Wielki Ogrodnik Bogów.

Dziedzic skinął łaskawie głową. Spodziewał się widowiska, a to zawsze jest dobre. Ludzie będą mieli rozrywkę niewielkim kosztem, a miał nadzieję, że kogokolwiek bądź wskaże czarownica, nie będzie to nikt specjalnie ważny lub potrzebny. Nawet gdyby wskazała – czego się nie spodziewał – rzeczywistą winowajczynię, po prostu będzie miał jeden kłopot mniej.

\*

Tej nocy do czarownicy wróciła nieznajoma Senna. We śnie czarownicy dziewczyna przed zwierciadłem pokazującym niezrozumiałe obrazy odwróciła się do niej i patrząc prosto w oczy rozpoczęła przemowę, równie niezrozumiałą i bezsensowną, jak tamte obrazy. Jakby wiedziała, że czarownica miała jedną, nieoczekiwaną cechę: zapamiętywała wszystko, co w jej obecności powiedziano i była w stanie to powtórzyć nawet gdy już dwa razy odmienił się księżyc. Ta jej zdolność nie była dla nikogo przydatna ani wygodna, wszyscy zawsze twierdzili, że coś poplątała i nikt jej nie wierzył, ale ona wiedziała, że swojej pamięci może ufać. To była taka jej jeszcze jedna dziwna zdolność – coś, co się wydarzyło, zostawało na zawsze w niezmienionej postaci. Tak więc dziewczyna pouczała czarownicę:

– Tu, gdzie i kiedy jestem, nie sprawia mi żadnej trudności ustalenie kto, czym jest dzieckiem. A w gruncie rzeczy do tego sprowadza się Twój problem. Chcesz wiedzieć, jakie jest imię twoje, choć nie masz pojęcia, do czego ci to potrzebne. Mogę Ci podać twoje imię, złożone z jedenastu tysięcy ważnych znaków i jeszcze ponad trzydziestu tysięcy, o których nic nie wiem i co ci z tego przyjdzie? Możesz nauczyć się na pamięć twojego imienia, możesz znaki te rysować na nadrzecznej plaży, tak, jak ci podyktuję, możesz je nawet zapamiętać, ale dopóki nie poznasz imion wszystkich ludzi na świecie, nie porównasz ich ze swoim imieniem, nie wyodrębnisz różnic i podobieństw, dalej nie będziesz nic wiedziała. Daruj więc sobie swoje głupie wysiłki i myśl o rzeczach poważnych.

We śnie czarownica odpowiadała jej z elokwencją i przekonaniem, którego na jawie wcale nie czuła:

– Jeśli to takie proste, to po prostu narysuj to na plaży na mokrym piasku. Ja wszystko zapamiętam! Taka już jestem, może do czegoś moja umiejętność się przyda!

– Niemądra jesteś! Czy wiesz co to jest (nieznane słowo) Albo (inne nieznane słowo)? I czy masz pojęcie jak to się robi i do czego to służy? Zapamiętałaś dźwięki i co z tego? Dla Ciebie co innego jest ważne. Chcesz poznać swoją matkę i swojego ojca i dowiedzieć się dlaczego cię porzucili! Tylko o to ci chodzi. Cała reszta jest tobie niepotrzebna. Och Boże, jak ci to wszystko wytłumaczyć? Siedzę tu, przed (nieznane słowo) i wiem doskonale jak zaspokoić twoje pragnienie! Wiem doskonale czym jesteś dzieckiem, w każdym razie mogę się dowiedzieć. Ale wiem też, że to nie dająca się rozwiązać niepewność skłoniła ludzi do porzucenia ciebie. Nie wiedzieli, czy jesteś dzieckiem boskim, czy ludzkim i nie potrafili tego sprawdzić. Zrobili więc to, co zrobili. Uznali, że emanacja boska w tobie przeżyje, emanacja ludzka skaże cię na zgubę. Ale ponieważ nie mogli niczego udowodnić, powiedzieli, że lepiej żyć nierozpoznanemu bóstwu niż samozwańczemu człowiekowi. Ja wiem zaś, że choć przeżyłaś, jesteś tylko ludzkim dzieckiem, nie boskim, bowiem boskich dzieci nie ma... Chyba, że wszyscy jesteśmy ich dziećmi. Jakie więc ma znaczenie to, kto był Twoim ojcem i twoją matką?...

– No to powiedz mi – wybuchła we śnie czarownica – jak to nie ma żadnego znaczenia, to co ci szkodzi? Powiedz i odczep się ode mnie! Przestań mi się śnić, mam inne, poważniejsze sprawy!

– Jak chcesz – z ociąganiem odparła dziewczyna. Jej dłonie zatrzepotały nad lustrem w geście zrozumiałym dla wszystkich. – To ty się ode mnie oderwij stara (nieznane słowo)! Chcesz wiedzieć, to poczekaj, aż dowiem się jak ci powiedzieć to, co wiem. Jesteś głupia idiotka, kretynka i nie wiem jeszcze co! I takie coś uważa siebie za czarownicę! Naucz się myśleć, jeśli nie jest dla ciebie już za późno! Pewnie, że mogę narysować to wszystko na piasku plaży, ale co z tego, jak nie umiesz czytać?! Weź i utocz kroplę swojej krwi na szmatkę i ciśnij przed siebie i zostaw, żebym mogła jej się przyjrzeć...

Sen się skończył równie nagle jak się zaczął, a czarownica usiadła na posłaniu przecierając

oczy. Dzisiaj musiała przygotować widowisko, uwolnić od podejrzeń siebie i Kerę i na koniec dowiedzieć się, kto jej i po co tak namieszał w głowie, że uwierzyła w przeznaczenie. Nie sądziła, żeby sama to wszystko wymyśliła. Ale to później. Najpierw przedstawienie. A jeszcze przed przedstawieniem trzeba nożykiem naciąć palec...

\*

W południe zwołano wszystkie kobiety z dworu. Czarownica była przygotowana także na to, że wezwą także mężczyzn, ale o tym nie pomyślano, uznała więc z satysfakcją, że będzie miała mniej roboty. A gdyby nie powiodło się teraz, dzięki zapomnieniu mężczyzn otworzą się inne możliwości. Nieprzytomną gospodynię zaniecono z jej komory do największej sali dworu i ułożono na posłaniu przy wygaszonym poprzedniego dnia ognisku. Wszystkie domowniczkę podchodziły do niej, kładły świeżo wymyte i osuszone ręce na piersiach gospodyni ze słowami: – matko osądź mnie! Każda na głos, swoimi słowami wypowiedzianymi wobec wszystkich, musiała wytłumaczyć się gospodyni, powiedzieć czy przyczyniła się w jakikolwiek sposób do jej choroby i czy nie wie nic o osobach mogących mieć w jej cierpieniu udział.

Ich pani leżała z półprzymkniętymi powiekami, spod których przebłyskiwały białka oczu, teraz żółtawe i przygaszone, a powietrze wydostające się z jej otwartych ust ze świstem i charczeniem mówiło jak ciężko walczy o oddech. Czasem jednak pod powiekami pojawiały się źrenice, rozszerzone i czarne, tak że kobiety miały wrażenie iż gospodyni słucha tego co mówią i ocenia ich prawdomówność. Czarownica podchodziła wówczas do pani, nachylała swoje ucho do jej ust, potem mruczała coś cicho, może w odpowiedzi na jej polecenia, ale nic nie mówiąc, odchodziła na bok. Wszyscy wierzyli, że przed umierającą gospodynią nic się nie ukryje. I że daje czarownicy swoje wskazówki.

Potem kobiety otrzymywały z rąk czarownicy czarkę z napojem, który wypity duszkiem, miał całą prawdę z ich głów wydobyć i porównać z tym, co powiedziały swojej pani i co ich pani sądziła w tej sprawie. Ukłoniwszy się jej w pas, podchodziły do wygasłego ogniska, zanurzały dłonie w popiele i kładły je na płótnie rozłożonym obok. Niektóre dłonie odciskały się słabiej, inne silniej i zostawiały ciemniejsze plamy; były też kobiety, które zatrzymywały dłoń tuż nad płótnem, jakby bojąc się go dotknąć, ale popchnięte przez czarownicę, musiały dopełnić rytuału. Części kobiet, tym, których odcisnięte ślady były słabsze, czarownica pozwalała odejść, kilku jednak, z niewiadomych względów nakazała pozostać. Niektóre szlochały, inne zacinały usta w niemej drwinie, ale żadna nie protestowała. Zapewne uważały, że protest im nie pomoże, a może im zaszkodzić. Wolały nie podpaść. Trwało to cały poranek. Kera też musiała zostać, mimo, że ślad odcisnięty jej dłonią był prawie niewidoczny. Niech się podenerwuje, dobrze jej to robi – czarownica nie mogła darować dziewczynie, że tak ją oszukała. I sobie, że jej trochę uwierzyła.

Dziedzic przyglądał się widowisku z wysokiego fotela. Ciekawość, co jeszcze wymyśli czarownica, jak dojdzie do tego, kto jest winny, nie pozwalała mu odejść. Sprytna ta baba, myślał. Chyba jej się to uda. Tymczasem kobieta krzątała się między panią a jej dwórkami mruczając pod nosem coś, co brzmiało jak zaklęcia i rozkładając w różnych miejscach komnaty piórka zebrane w kurniku.

– One są tak lekkie – zwróciła się do dziedzica tytułem wyjaśnienia, jakby mógł zrozumieć i ocenić jej kunszt – że żaden powiew myśli nie ujdzie ich oku, wszystko zbiorą i zatrzymają w swoim puchu, a ja to zbiorę i odczytam.

Czarownica wręczyła każdej z kobiet igłę z nitką, kazała kilkakrotnie złożyć kawałek płótna, gdzie odcisnęła swoje dłonie, zaszyć go w małą saszetkę i przymocować do czoła. Wiedziała już, która otruła swoją panią; igła trzęsła się i ślizgała w jej brudnych rękach, gdy zszywała czarny prawie kawałek swojego płótna, ale trzeba było zakończyć to dochodzenie efektem, który wszyscy zapamiętają. Podeszła do okna i odsunęła błonę zasłaniającą światło. Okna wychodziły na południe i niewiele czasu trzeba było odczekać, żeby sprawę zakończyć. Cztery podejrzane kobiety siadły rzędem przed oknem. Miały siedzieć bez ruchu, z twarzami zwróconymi w kierunku przesuwanego się słońca. Mogły zamknąć oczy i tak nic im to nie pomogłoby. Ta, na której paczuszkę przymocowaną do czoła padnie słońce, a jest winna podania trucizny, oślepie nawet mimo zamkniętych oczu, chyba, że jej pani daruje jej tę zbrodnię. Czarownica spod okna

przypatrywała się kobietom. Winna siedziała ostatnia w rzędzie. Słońce powoli przesunęło się, kobiety otwierały i zamykały oczy. Promień przesunął się z twarzy Kery na twarz kucharki. Czarownica skinęła na Kerę, pozwoliła jej odejść. Potem odeszła kucharka. Wreszcie stara ochmistrzyni. W komnacie panowała cisza. Ostatnia w rzędzie, nie czekając, aż słońce oświetli jej twarz, zerwała się z krzykiem i padła na kolana przy posłaniu swej pani, błagając ją o litość. Zanim jednak zdołała wykrzyknąć cokolwiek na swoje usprawiedliwienie, na skinienie dziedzica dopadli ją słudzy i szmatą zatkali usta. Skrępowali sznurami i wywlekli z komnaty. Jej pani i tak nie zlitowałyby się nad nią, gdyby nawet miała taki zamiar, bo już nie żyła. Odeszła cicho w momencie, gdy nikt na nią nie patrzył. Czarownica wiedziała, że nieszczęsna trucicielka także nie dożyje rana, już zadba o to dziedzic. Niepotrzebnie z błaganiem w oczach wpatruje się w jego twarz, nietrudno to było przewidzieć. Są przecież ludzie, o których od pierwszego rzutu oka wiadomo, że szykują sobie zgubę i ona do nich należała. Czarownica wiedziała o tym i bez tego całego przedstawienia, które urządziła. Przecież była czarownicą.

\*

Dziewczyna nazywana przez czarownicę Senną, choć nosi całkiem inne imię opowiada w biurze koleżance:

W pewnej gazecie przeczytałam taką historię: Za naszą wschodnią granicą, na przystanku mikrobusów stoi kilku kierowców oczekując na godziny swoich kursów, wypełniając czas jakąś zażartą dyskusją. Do jednego z nich podchodzi Cygan (Rom po naszymu) i mówi: daj mi sto rubli, bo oponę ci przegryzę! Kierowca i koledzy pokładają się ze śmiechu. A przegryzaj sobie! Cygan klęka i gryzie oponę co siłą, aż pokrwawił sobie szczękę. Kierowcy otoczyli go kołem, żartują i dogadują. Nawet na litość niejednemu się zebrało, taki biedny, usmolony, pokrwawiony musiał odejść z niczym – bo oczywiście nie przegryzł. Cygan odszedł, kierowcy wrócili do autobusów. A tu ani radioodtworzący ani portfeli, dokumentów i co tam który jeszcze miał. Autor artykułu konkludował: za wszystko trzeba płacić. Moim zdaniem morał tej historii jest zupełnie inny: nie wierz ustom zakrwawionym w nieracjonalnym wysiłku. A płacić musisz niezależnie od tego czy coś dostałeś, czy wręcz przeciwnie, utraciłeś.

Tego samego dnia rankiem, po przeczytaniu owej gazety, zapisałam się na internetowy kurs jasnowidzenia i wróżb. Naiwna, powinnam wiedzieć, co robię. Toż sam prowadzący kurs jasnowidzenia (wprawdzie znacznie później) ale stwierdził: wróżenie i jasnowidzenie należy do dziedziny magii, a nie zdrowego rozsądku. A w magii wszystko ma znaczenie. Nawet reklama, która przyklei się do waszego maila! Miał rację – jednej kandydatce na wróżkę przyklejały się maile całkiem a propos jej wypowiedzi. Ona o tym, że chciałaby wiedzieć czy doczeka się dziecka, przyklejona reklama o tym, że koniecznie trzeba obejrzeć najnowszy film o miłości. Ona, że nie jest pewna czy to jej pragnienie na pewno podziela mąż, reklama sugeruje, żeby zainwestował w akcje jednego z funduszy. Nie potrzeba wróżki, żeby zgadnąć: Czy naprawdę się kochacie i czy oboje jesteście gotowi na poniesienie rozmaitych kosztów i obniżenie życiowych aspiracji? Taką można z reklam wyczytać odpowiedź Siły Wyższej. Może, żeby się nie nudzić i nie wściekać, przed włączeniem telewizora zadać pytanie i czekać na reklamy? Oszczędzi się skakania po kanałach i ściszenia głosu, zawsze przy reklamach rozkręconego na ful.

No, ale ja o tym wszystkim nie wiedziałam i zapisałam się na ten kurs wpłacając zupełnie niewielkie pieniądze, śmiesznie małe wobec moich oczekiwań. Ponieważ jasnowidzem byłam od niedawna, od czasu gdy w moich snach za sprawą, jak przypuszczam, moich nieżyjących przodków, zaczęły się pojawiać rozmaite rzeczy, które potem sprawdzały się w stu procentach, ale zawsze w sposób odmienny od oczekiwanego. Jednak w momencie, gdy śniłam, nie potrafiłam znaczenia snu takiego rozszyfrować, jego sens stawał się jasny dopiero później, gdy zdarzenie już zaszło. Koniecznie musiałam przełamać swoją niekompetencję. I nauczyć się odczytywać Znaki.

Niezbyt dokładnie wiedziałam, na czym kurs ten będzie polegać. Sądziłam, że nauczą nas interpretacji rozmaitych znaków, dawanych przez siły wyższe, znaczenia symboli pojawiających się we śnie i na kartach, sensu mimowolnych pomyłek i tego wszystkiego, do poznania czego trzeba by było skończyć co najmniej historię kultur, etnografię, filozofię i jeszcze z pięć fakultetów. Ja zaś studiowałam kiedyś, wyznam ze wstydem, budowę maszyn rolniczych i nigdy studiów tych nie

ukończyłam. Sama tytułu rzeczy nie rozumiałam w swoich snach! Potrzebowałam przewodnika duchowego ale i osoby, która trzeźwo oceni moje zdolności i powie mi, czy warto kontynuować moje zainteresowanie przyszłością, czy raczej zostać przy stanowisku pracownika do spraw reklamacji w dużym supermarkecie, czyli słodkiej idiotki, blondynki z wielkimi oczami, worka treningowego dla rozwścieczonych klientów w średnim wieku. Ile razy powiedziałabym takiemu: wściekaj się pan, wściekaj, jutro cię powali zawał, na OIOM–ie zabraknie respiratorów albo lekarze się zwolnią w daremnym proteście i zobaczymy wtedy, czyje będzie na wierzchu, chamie jeden! Ale z tego prorokowania nie byłoby dla nikogo, a zwłaszcza dla mnie, żadnej korzyści. I mogłabym z pamperssem w majtkach wylądować w kasie. Musiałam więc patrzeć na niego słodko, gadać bzdury bez sensu i czekać aż jego tłusta żona przerazi się mojego uroku i ciągnąc go zacznie mu tłumaczyć: – nie złość się misiu, to nie twoja wina, że zatrudniają same idiotki, widać taniej im wychodzi! Pomyślałam, że gdy skończę ten kurs i będę umiała wytłumaczyć wszystkie magiczne znaki pojawiające się w moim otoczeniu, zgłoszę po prostu działalność gospodarczą pod nazwą „jasnowidzenie” i zacznę ludziom przepowiadać przyszłość. Praca łatwa, miła i przyjemna, jeśli się wie, czego pod żadnym pozorem nie wolno powiedzieć, tylko trzeba się trochę poduczyć. W dodatku prowadzący napisał, że Neptun w moim horoskopie jest silny, nawet wręcz zbyt silny, żeby nie zająć się tą dziedziną. On ciebie i tak zdominowałaby, nawet bez kursu, a to mogło być niebezpieczne – napisał. BHP wróżki wymaga, żebyś więcej wiedziała. Nawiasem mówiąc, jeśli wpłacasz należność za kurs na podane konto, w rubryce „tytułem” umieszczaj tylko swojego nicka bez żadnych dalszych informacji, które są zbędne. Zrozumiałe, jak jasnowidz, to jasnowidz. Oczami ducha śledzi skomplikowaną drogę mojej i cudzej forsy. No i zmieniłam też pracę, bo nadarzyła się sposobność.

Kiedy więc oświadczył, że w soboty rano będziemy zadawać Bardzo Ważne Pytania losowi, a o północy z soboty na niedzielę (żeby iść do pracy w poniedziałek w miarę wyspanym) wywoływać w sobie magiczne odpowiedzi, a w niedziele porównywać je i omawiać – podeszłam do tego planu z entuzjazmem. Postanowiłam, jak i inni uczestnicy kursu, zadać swoje pytanie. W rezultacie pytań było kilkanaście, najrozmaitszych: osobistych, politycznych i ogólnych. Oceniałam swoje pytanie jako bardzo mądre i bardzo ważne dla Polski i świata i miałam nadzieję, że znajdzie się ono w czołówce listy ważnych pytań, ale przeliczyłam się. O moim pytaniu i jego ocenie przy innej okazji.

Zwyciężyło pytanie proste z pozoru: „Czy Kmicic, bohater „Potopu” Sienkiewicza był w istocie zdrajcą, czy może działając w najlepszych intencjach faktycznie zdrajcą takim nie był?” Pytanie wydało mi się nieprecyzyjne, bardzo skomplikowane, a w dodatku mało kogokolwiek chyba obchodziło. Zanim jednak zdołałam sformułować na forum swoją krytyczną uwagę, pewna uczestniczka kursu z dużą pretensją (nie w głosie co prawda, ale w tekście) podpisująca się mianem **Charis Oromit** (co to właściwie znaczy? A może nie uczestniczka, tylko uczestnik?) stwierdziła(!), że pytanie jest nieuczciwe, bowiem jakakolwiek byłaby odpowiedź, zawsze można uznać ją za trafną.

Na to odezwała się inna uczestniczka **Gremolata**, o której (nawet nie znając jej) pomyślałam od razu, że jest albo podstawiona, albo wredna, albo przemądrzała, albo wszystko razem. (Przepis na gremolatę: wymieszać posiekany szczypior, ½ łyżeczki czosnku, startą skórkę cytrynową, przyprawić solą i pieprzem oraz najostrejszą, jaką się ma, papryką). **Gremolata** napisała do **Charis Oromit**: Jesteś prymitywna skoro sądzisz, że pytania muszą dotyczyć rzeczy interesujących cię osobiście! Nie nadajesz się na jasnowidza. Biedna **Charis Oromit** – zebrała wyzwiska należne mnie, bo o tym ja miałam zamiar napisać, ale nie zdążyłam. **Charis Oromit** pisała tylko o uczciwości zadawania pytań o losy nieistniejących osób, ale wredna **Gremolata** była na pewno jasnowidząca, choć nie do końca: powinna przecież napisać do **Lindy\_be**, to jest do mnie: – nie ukrywaj się stara, i tak cię dopadnę, jak ty naprawdę się tam nazywasz. I nie podpisuj się **Linda\_be**, bo nie znoszę baranów! Tak przynajmniej pomyślała, jeśli nie napisała. **Charis Oromit** oberwała także od prowadzącego.

– To nie uczciwość ma znaczenie, a magia – napisał jej. Magia nie jest uczciwa lub nie – ona jest ponad człowiekiem – stwierdził autorytarnie, choć moim zdaniem niesprawiedliwie nasz guru. Jasne więc, że nie dyskutowałam z nim, choć miałabym co nieco do powiedzenia. Doszłam do

wniosku, że on też jest przemądrzały Ale napomknął gdzieś, o Saturnie w jego medium coelli oraz koniunkcji Plutona Marsa i Saturna w Baranie, więc wszystko było jasne. Rozczarowana przygryzłam wargi. mówiąc sobie w duchu, że te wszystkie zasadnicze pytania i dyskusja nad ich wyborem nie mają znaczenia, ważne są wykłady i informacje, i za nie płacę. Do **Gremolaty** zaś napisałam, bo nie mogłam się powstrzymać :

– Czy ty w ogóle lubisz ludzi? W końcu nie znamy się wszyscy, większość osób ma problemy ze swoją osobowością, z mówieniem o swojej prywatności, a już na pewno nie szukają sędziego swoich spraw! A ty jakie masz do tego kwalifikacje?

Mój post ukazał się najpierw, potem po pół godzinie post kogoś, kto podpisywał się **Eoposition**, i na który miała odpowiedzieć **Gremolata** i której odpowiedź (zanim się ukazała na forum) ja skrytykowałam. W końcu też byłam jasnowidzem no nie? **Gremolata** nie miała już nic do gadania, odpisała więc do mnie: Spróbujmy się pościgać! Wmieszała się między nas niejaka **Velocity 276** pytając, o co nam chodzi i tłumacząc, że dopiero zapisała się na kurs i nie może się połączyć. Zignorowałyśmy ją. Szło na noże.

Siedząc przed ekranem laptopa postanowiłam odpowiedzieć na wyzwanie **Gremolaty**. Zastanawiałam się, jak sformułować swoje warunki współzawodnictwa i doszłam do wniosku, że najlepiej będzie zająć się poszukiwaniem imienia kobiety, starej, rozczochranej czarownicy, która przyśniła mi się tej nocy, wygrzebująca jakieś korzonki z błotnistej gleby. Byłam przekonana, że istnieje, bądź istniała naprawdę.

– No to dawaj, odezwała się **Gremolata** w mojej myśli. Pisz w wordzie i wyślij mi na mojego maila. Zahasuj dokument. Najlepiej jakąś runą. Ja ci wyślę swoją historię, a jak już będziemy miały nawzajem, wymienimy hasła.

Przedrzeźniając naszego duchowego przewodnika oświadczyłam: – to jest magia, a nie uczciwość, weź se na wstrzymanie, nie będę wymyślać haseł. Nie znam się na runach i nic mnie nie obchodzi. Godzina 24 – ta OK.? Bo o 23–iej mamy Kmicica, czy innego tam Kuklińskiego. Najpierw pułkownik Kuklinowski przypalał Kmicica, a potem Kmicic pułkownika Kuklińskiego/Kuklinowskiego, jeden zdrajca w drugiego, same pułkownicy. Kto by się tam w ich uczciwości rozeznał! Komu potrzebne stawianie kart w takiej gównianej sprawie!

Otworzyłam nowy dokument, zatytułowałam: **O pochodzeniu czarownicy, która nie знаła swego imienia** i zaczęłam pisać. Na dworze zapadł już zmrok, ale zapomniałam zapalić światła. Pisałam i pisałam, przegapiłam nawet Kmicica tasowanego o dwudziestej trzeciej. Kij mu w oko, kogo to obchodzi! Żeby jeszcze pytali o stan wojenny! I czy Ruskie mieli czy nie mieli zamiaru wkroczyć? A może szykują się teraz przeciwko nam. To mięso i gaz i ropa... Kiedy indziej napiszę, dlaczego było to dla mnie takie ważne.

\*

Adnil, szesnastoletnia dziewczyna, kapłanka Bogini Matki szykowała się do największego święta ich chramu. W dniu tym miała zsynchronizować się z emanacją Bogini, przyjąć w siebie jedną z Jej postaci – Tchnienie Wilgotnego Wiatru. Dopasowała rytm swojego ciała do rytmu Księżyca (nad czym pracowała już od roku), od trzech dni piła tylko ziołowe napary i opróżniła już wnętrzności z resztek zwykłego, nie świętego pożywienia. Przed chwilą wykapała się w ziołach, po modlitwach i skupieniu, polana została siedmioma wywarami, warzonymi od wczoraj przez kapłanów i kapłanki. Nadeszły najbardziej upalne dni lata, nagie ciało Adnil mimo rytualnej kąpieli sphywało potem z gorąca i emocji. Czekał ją Najważniejszy Ceremoniał, do którego przygotowywano ją całe życie. Teraz przyszła kolej na rytualny posiłek: ułożone w skomplikowany wzór ziarna uprawianych zbóż i krew ofiarnych zwierząt, wreszcie najważniejsze: oczekiwanie, na połączenie się z kapłanem, emanacją Suchego Wiatru, dla dobra przyszłych plonów i pomyślności całego kraju.

Przełożeni Chramu już wszystko wiedzieli: To ma być dziś. Dziś wyroją się mrówcze królowe na swój godowy lot, dziś przyjdzie czas i na nią. Siedzieli z kapłanem, emanacją Suchego Wiatru na szczycie wzgórza na kobiercu z przesuszonej trawy i wypatrywali, czy na większych źdźbłach nie pojawiły się już królowe. Z daleka nadciągały burzowe chmury, pomruk grzmotu dosłyszec mogli

ci, którzy wsłuchiwali się w przekaz Powietrza.

Posługacze świątyni, pocąc się i sapiąc, pod kierunkiem kapłana wciągnęli na wzgórze posąg Wielkiej Bogini, a teraz marudzili z posągiem Potężnego Boga. Ze snopów dojrzałych zbóż ułożono już posłanie dla bóstw, które spółkując, poprzez swoje emanacje zapewniają pomyślność światu. Masowy wyrój mrówczych królowych jest potwierdzeniem, że nastąpiło zaburzenie równowagi w przyrodzie i należy ją przywrócić. Kapłan i kapłanka układają się więc między posągami bóstw i starają się okazać sobie jak najwięcej miłości i rozkoszy, aby wiatry nie spaliły, a wody nie zalały plonów i aby na całym świecie zapanowała równowaga. Dziecko urodzone z tego związku, jako emanacja Obojga Wiatrów, będzie miało dar przywracania równowagi, poskramiania chorób, szarańczy, komarów, mrówek, szerszeni, os i uśmierzania wszelkich niepokojów. Kapłan i kapłanka spełniając rytuał musieli bardzo się starać, żeby poczęte dziecko było piękne, mądre i przewidyjące.

W miłosnym zapamiętaniu zapomnieli o tym ostatnim warunku i wyrzucili z pamięci wszystko, co ich otaczało – na zgubę swoją i Bóstw. I na naukę przyszłym pokoleniom. Czuli swój dotyk i tylko on był dla nich ważny i jego chcieliby opisywać po kres swoich dni. Tak się jakoś wydarzyło.

\*

W tym czasie władca porzucił starą religię i dał posłuch kapłanom nowego, jedyne Boga Słońca, podobno władającego także i tymi dziedzinami, które niegdyś przypisywano wszystkim innym bóstwom, w tym i Wielkiej Bogini Matce. A przecież ludzie wiedzieli, że Słońce, choć życiodajne, może też być groźne, palić i niszczyć mimo swego piękna i tylko Wielka Bogini Matka trzyma tę swoją emanację na wodzy. Nowi kapłani obalali posągi Wielkiej Matki, wysmiewali się z niej, że brzydka, gruba i bezkształtna i piękny złotowłosy Bóg Słońce nie mógłby na nią patrzeć bez odrazy. On powinien wnikać w idealną kształtną vaginę, a nie w pulsujące, obrzydliwe dziurawe coś-tam. Dopelnieniem Boga Słońca (nawet gdyby nie był jedynym i wszechwładnym), mogłaby ewentualnie być piękna, złocisto różowa, młodzianka Jutrzenka, przeobrażająca się u schyłku dnia w także piękną, bladofiołkową Umierającą Gwiazdę Wieczorną, ale nigdy niekształtna bryła, z wargami sromowymi podobnymi bruzdom źle zaoranego pola, cyckami sięgającymi poniżej pasa, i brzuchem wzdętym od wchłanianego bez umiaru żarcia. Takie „bóstwo” zasługuje na bezlitosne tępienie, a jego kapłani i kapłanki na śmierć w mękach: ciekawe, czy można do ostatniej chwili wierzyć w takie obrzydlistwo!

Watahy rozmaitych wyrzutków, opłacane przez króla i jego zauszników niszczyły już od roku świątynie, bezcześciły święte miejsca, gwałcąc kapłanów i kapłanki, bądź zmuszając ich do stosunków ze zwierzętami i innych okropieństw. To przydarzyło się i tej parze, która tak zapamiętała się w spełnianiu rytuału, że zapomniała o konieczności rozglądania się wokół. Wojownicy nowej religii wdarli się na wzgórze, zgwałcili od paru minut już nie dziewicę, emanację i prawdopodobną matkę dziecka – Równowagi Świata, a towarzyszące im kobiety, upuściły Sok Kapłana, o którym słyszały, że z niejasnych powodów, których nie zamierzały badać, jest ważny, połykając go na szczęście i spaliły bóstwa razem z ich posłaniami ze snopów zbóż. Mężczyźni w końcu zamordowali kapłana, bowiem w ich Słonecznej Religii, pełnej symboli Powstawania, Rządzenia i Niszczenia winnych, ważniejsi byli mężczyźni, kobiety były tylko nieistotną zdobyczą wojenną, dopelnieniem mężczyzn w najlepszym wypadku, niewolnicami w najgorszym. Kapłan zdaniem morderców przynosił religię, kapłanka tylko z nim spółkowała. Póki miała swoje narządy, mogła spółkować z każdym swoim panem.

Adnil wróciła do rodziców, skąd zabrano ją dzieckiem do świątyni. Była już zbezczeszczona, nie zasługiwała na ochronę Bogini i Jej żadnej emanacji oraz przedstawicieli Bogini na ziemi – kapłanów i kapłanek – choć stała się ich poważnym kłopotem. Możliwe, że Bogini Matka zadrwiła ze swoich wyznawców, narzucając im myślenie utartymi torami, ale tego nikt nie mógł być pewien. Najważniejszym problemem Kolegium Kapłanów był dylemat: czyje jest dziecko, które urodzi: boską emanacją czy ludzkim potomkiem zdrajców. Nie traktowano więc Adnil dobrze, przeciwnie, miano nadzieję, że umrze wraz ze swoim niejednoznacznym płodem, o którym nie wiedziano, z

jakiego powstało nasienia, boskiego, czy ludzkiego. Nikt nie zadawał sobie pytania – czego życzyła by sobie Wielka Bogini Matka o szpetnych narządach płciowych, tak już nawet jej własni kapłani przesiąkli nowoczesnością i ideami piękna, którym musiało odpowiadać Bóstwo. Ciężarna Adnil zbyt przypominała Wielką Boginię Matkę, żeby w ich oczach miała być piękna. Żarła bez umiaru placki i piła dzbany piwa z żyta, sypiąc do wszystkich potraw pełne garście kminku. Była odrażająca. Spuchnięta jak ropucha, zapatrzona w siebie, głucha i ślepa na świat zewnętrzny. Nie była więc nadmiernie trudną decyzją Kolegium Kapłańskiego. Po porodzie dziewczynę Adnil należy zabić, gdy skończy karmić, bo jest skażona sokami bluźnierców. Co do dziecka – zostanie poddane próbie. Porzucone na rozstajach dróg albo przeżyje – co będzie dowodem, że jest emanacją Bogini, albo zginie, co dowodzić będzie że pochodzi od zdrajców i rzezimieszków. Jedyne, czym można wesprzeć nowo narodzone dziecko, jest pojenie go wywarem kminku. Wielka Bogini Matka po kminku znajdzie drogę do swojego Dziecka (o ile nim jest), ludziom ten zapach i smak będzie obojętny.

Adnil, uważana za głupią, znała swój los. Nie chciała o nim myśleć, ale kminek zawsze jej o nim przypominał. Znając swoją przyszłość, nie mogła spokojnie jeść, choć była głodna, wymiotowała, brzuch jej napęniały gazy. Tylko kminek. Kminek przywraca równowagę, i piwo z ziaren zbóż i jęczmienia, śmierdzące piwo z dna dzbanów fermentacyjnych, obrzydliwe, ale dające zapomnienie. O Wielka Bogini Matko, daj mi ukojenie, wszak leżąc na porośniętych kminkiem polach, wdychając jego zapach, pozwoliłaś zastygnąć wszystkim swoim emanacjom, skupić się w jednym, dozwól i mnie zapomnieć... Albo pamiętać, jaka twoja wola.

\*

Och, jakie to proste rozwiązać ten dylemat! Wymaz śliny z wnętrza policzka czarownicy, krew matki albo nasienie kapłana i od razu wiadomo czyim jest dzieckiem córka kapłanki Adnil – boskim czy ludzkim. Tylko, że wtedy nikt takich badań nie umiał robić, a dziś nikt by ich nie robił w tym celu, ponieważ już nie wierzono w czyjakolwiek boskość. Religie miały się lepiej, gdy nikt nie sprawdzał ich twierdzeń, a ludzie, gdy nie szukali dziury w całym i wierzyli w to, co wszyscy. Żadne dziecko dla nikogo nie byłoby emanacją boskości, nawet mali geniusze!

Ale rozwiązanie istnieje. Nie szkodzi, że genetyczny kod zapisany jak kod kreskowy na piasku plaży dla starej czarownicy, a nawet dla mnie, Marysi Belindy, (kursowy nick *Linda be*) jest niezrozumiały. To jest jej imię niepowtarzalne, prawdziwe, tajne i sekretne. Cóż może przyjść z jego znajomości? Gdyby żyła dziś, może znajomość imienia pozwoliłaby odkryć i opracować jakieś specjalne lekarstwo na jej dolegliwości, ale wówczas? Cóż przyjdzie czarownicy ze znajomości setek tysięcy znaków nakreślonych na piasku plaży, skoro nie umie czytać i nie zna języka? Cóż mogłaby jej dać znajomość imienia? Czy odróżniłaby swoje od imienia ropuchy? Jeśli już nie mały, od której różni ją marne parę procent?

I ja, kobieta wieku nauki i racjonalnego myślenia, co robię przed ekranem komputera wgłębiając się w astrologiczne wykresy i tajniki wróżb i magii? To jej domena, tej czarownicy, a nie ludzi naszych czasów! Ja odnalazłabym jej jedyne i prawdziwe imię, ale czy ona wytłumaczyła by mi tajemnicę mojego losu zawartego w kartach? Czy potrafiłaby mi powiedzieć, co mam zrobić, żeby mój chłopak przestał być narkomanem? I żeby jego piękne wiersze, a nie uzależnienie od chemicznych środków, odcisnęło się na umyśle i duszy naszego dziecka? Dzisiaj w dzienniku spotkanie dwóch przywódców dwóch krajów na szczycie, a reporter aż się zachłystuje: *zagrała między nimi chemia*. Chłopak z dziewczyną idą do łóżka – *między nimi jest chemia*. Małżeństwo spiera się bez końca o sposób gotowania parówek – *brakuje temu małżeństwu chemii*. A moim zdaniem brakuje im magii. Pomóż mi Czarownico znaleźć moje imię, zupełnie inne niż to, które mogłabym (posiadając forsy i kontakty) wypisać na plażowym piasku. Pomóż mi znaleźć zaklęcie, żeby odmienić mojego chłopaka i uchronić nasze dziecko przed skutkami jego imienia!

No, już prawie dwudziesta czwarta. Mail napisany, załącznik dołączony, teraz tylko kliknąć „wyślij”. I za chwilę poczytamy sobie, co też wymyśliła *Gremolata*, ta przemądrzała suka. Nie znoszę jej, choć nie znam.

\*



Dziedzic był oczarowany talentami czarownicy. Za jednym zamachem udało mu się upiec dwie pieczenie, a nawet trzy, jeśli się dokładnie zastanowić. Po pierwsze pozbył się starej, dokuczliwej żony. Po drugie pozbył się kochanki, która nadmiernie się już rozpanoszyła. Po trzecie, sprytnie sprawił, że obydwie się wzajemnie wyeliminowały, robiąc miejsce dla następnej. Ta cała Kera, ciało ma całkiem niezłe! I wiła się jak piskorz w wodzie... Gdyby tak jeszcze trochę ją posmagać pasem... Takim cienkim, nie na oślep, ale w pewnych miejscach... Może powinna odczuć nieco wdzięczności dla pana, kiedy ulegnie błaganiom i przestanie. Pomyślimy o tym. W dodatku czarownica pokazała mu sposób, jak wydobyć się z innych, możliwych opresji. Niewiele jadła, trochę pomagała w gospodarstwie, nie wadziła nikomu, warto ją było więc zatrzymać. Miał już pomysł co do niej. Każe jej sprawdzić wszystkich dworskich i powiedzieć, kto z nich jest jego wrogiem, kto złodziejem, kto ma coś na sumieniu, a może w jego dworze nawet ktoś dla kogoś szpieguje? Nie wątpił, że stara znajdzie sposób, by co do tego się upewnić.

Zawołał więc babę do swojej komnaty, pochwalił ją wyniosłe i kazał wręczyć solidny kawał płótna na koszulę i chustę oraz niewiele tylko podniszczony serdak zmarłej żony. Jeśli sądził, że resztę planu zrealizuje bez problemu, bardzo się mylił. Zanim przystąpił do rzeczy, kobieta uprzedziła go:

– Czy zgadzacie się panie, żebym dalej szukała sprawcy otrucia? – zapytała przymilnie.

Wyglądało to na nadgorliwość, ale dziedzic nie łudził się; starucha była przebiegła jak mało kto. Może odgadła, że bez jego milczącego przyzwolenia trucicielka nie ośmieliłaby się podnieść ręki na gospodynię? Wyraził więc, jak mógł najsilniej, swoją niechęć i zdziwienie:

– Sama ją znalazłaś, nie pamiętasz już? – i kiwając ręką kazał jej wynosić się z komnaty. Nie dał jej dojść do słowa, ale czarownica już wiedziała wszystko. Wycofując się cichutko, pozornie skulona pod ciężarem niechęci pana, w głębi duszy kalkulowała. Pewnie sam dziedzic chciał pozbyć się żony, a że wierzy w moje zdolności... I dobrze! Nie będzie domagał się dalszych usług, tropienia wrogów i tak dalej. Zechce pozbyć się nas jak najszybciej. Byle nie ostatecznie. Lepiej samej odejść, póki czas. Dlaczego Kera nie wyczuła, że coś im grozi w tym dworze? Śmiało mogły powędrować dalej, do innego dworu i jeszcze innego, wcale nie musiały się tutaj zatrzymywać. A teraz muszą odczekać parę dni, żeby nikomu nie przyszedł na myśl związek ostatnich wydarzeń z nimi, z czarownicą przede wszystkim... Chyba, że to nie Kera wyczuwa, tylko ktoś za nią.

Tymczasem zbliżało się Święto Umierania. Co roku, w pierwszym ubywającym księżycu po równonocy jesiennej we wszystkich wsiach i dworach budowano szałas, większe, mniejsze, zależnie od potrzeby. Do szałasów tych znoszono ludzi starych, chorych, umierających. Mieli przebywać tam drugie pół księżyca, aż zaczną go widocznie przybywać. Wokół tego szałas zbierają się rozliczne złe i dręczące duchy. Umierający wysysają zawsze wszystkie siły z żywych, towarzyszących im, z rodzin i bliskich, należało więc oddalić się od nich aby uniknąć złych duchów i wyczerpania sił. Jedzenie i wodę oraz opał na ognisko stawiano im w progach, kto mógł czołgał się i zabierał. Jeśli chciał, pomagał innym, jeśli nie, nikt nie miał im tego za złe. Wszystkim rządził Los.

Czasami do szałasów ze starcami zamykano także rozmaite wyrzutki, ludzi przeznaczonych wyrokami na śmierć, czasami zwierzęta, ślepe małe koty, kulawe psy. I tak umrą, ale przedtem ściągną do siebie wszystkie złe duchy. Inni umierający będą mieli szansę – jeśli przeżyją. Wówczas tych umierających, którzy przeżyli, zanoszono z powrotem do ich domów, okadziwszy porządnie odświeżającymi ziołami i namaściwszy ich ciała tłuszczem odstraszącym duchy. Skazanych oczywiście zabijano, ich ciała i pozostałe zwłoki palono, wyrzutki wyganiano poza obręb wsi. Szalas także palono, a popiół zbierano i rozsypywano do rzeki. Nie mógł zostać najmniejszy ślad po nim; miejsce nie mogło się odróżniać od otoczenia, by nie ściągnąć tam na powrót złych duchów. Jeśli wszyscy zamknięci w szałasie umarli, tym lepiej, duchy umierających nie sprzymierzą się ze złymi demonami nękającymi wieś i wszystkie dusze powędrują tam, gdzie ich miejsce i skąd nie ma powrotu, gdy już na dobre odejdą.

W tegorocznym święcie postanowiono zamknąć z umierającymi kobietę, która otruła gospodynię. To ona miała ściągać na siebie wszystkie krwawopijcze duchy umierających i dostarczać im pokarmu, póki nie nadejdzie czas jej śmierci. Ale służba szeptała. Tę, która otruła gospodynię

znali wszyscy. Była piękna i dobra. Swoje wpływy u pana wykorzystywała także dla innych, pomagając, ostrzegając i łagodząc pański gniew. Pomagała wszystkim. Wiecznie roześmiana, piękna i przyjazna. I miała dzieci. Pewnie pan po jej śmierci oddali niebożątka z gospodarstwa i któż się nimi zaopiekuje, biednymi sierotami?

Ale morderczyni następnej nocy zniknęła zabrawszy swoje dzieci i nikt nie musiał już zastanawiać się, co z nią zrobić. Kto wie, może sam pan uwiązał spuszczone na noc w obejściu psy, aby nieszczęsna mogła uciec? Poza panem tylko jeden kulawy parobek, który je karmił i uczył walki nie bał się do nich zbliżyć, ale czy odważyłby się coś zrobić bez zgody pana?

Natomiast ta nowa, Kera, jak najbardziej nadawała się do tego by usługiwać umierającym. Jeszcze nie wiadomo, co z niej za ziółko. W jej wieku dawno powinna być mężatką, a nie szlając się po gościńcach! Co szkodzi ją zamknąć także? Dziedzic musiał wziąć pod uwagę szemranie służby, zresztą co mu szkodziło? Zawsze może babę stamtąd wyciągnąć, umyć, osmagać i używać.

Kto się mu sprzeciwi, gdy na serio rzuci rozkazy?

\*

Otwieram załącznik do maila Gremolaty. Cóż to ona nie nawypisywała!

„...Saturn minie najbliższą po tamtej stronie osi planetę, Plutona, ten tranzyt wyzwoli i wzmocni Słońce, ale przy okazji uwypukli połączenia Marsowo-saturnowe, tzn. ujawni Twoje pokłady energii, na co dzień uśpione w krzyżu w znakach stałych, a wynikające z trygonu Mars-Pluton. Saturn na Plutonie to od razu Saturn w trygonie z Marsem. Jak ważne to siły widać też w drugą stronę: Mars w opozycji z Twoim Saturnem, zjawisko trudne, ale w październiku znieczulone Jowiszem na Saturnie... A u mnie wszystko na odwrót, lustrzane odbicie twojego horoskopu. I co na to powiesz?

Nie będę z nią dyskutować, nie znam się na tym. Na razie to ble ble, muły udają karakuły, a faceci rodzą dzieci.

Potem **Gremolata** opuszcza ścieżki, na których czuła się pewnie i zagłębia się w teorię przeczuc i przewidywań. Teraz następuje interpretacja, w każdym razie to, co **Gremolata** nazywa interpretacją. Tak naprawdę to są jej rozważania na temat jasnowidzenia. Nie jest oryginalna, już gdzieś czytałam takie kawałki, że niby we snach można widzieć to, co się zdarzy, ale niekoniecznie są to rzeczy ważne. Na przykład przyśni ci się obraz na ścianie, krzywo zawieszony i za jakiś czas idziesz do urzędu załatwiać sprawę i widzisz ten sam obraz tak samo krzywo zawieszony. Jesteś jasnowidzem bez wątplenia, tyle, że to, co przewidujesz jest w ogóle nieistotne i nikomu na nic niepotrzebne. **Gremolata** zapuszcza się jeszcze dalej. Pisze: „...To żadna sztuka przewidzieć przyszłość. Proszę bardzo! Przyciskam powieki palcami, widzę kolorowe rozbłyski i już! Obraz jest czarno biały, statyczny niczym stara zblakła fotografia. Widzę kąt pokoju, posłanie na materacu leżącym wprost na podłodze. Na posłaniu wypchany plecak. Trudno powiedzieć, co zawiera, obraz jest rozmazany, a szare szczegóły się gubią w kolorowych rozbłyskach. Z boku plecaka przytroczony jest jakiś garnek, obok stoi mała kuchenka gazowa z jednorazowym nabojem. Z plecaka wystaje rękaw kraciastej koszuli. Dalej komplet jakichś kluczy i pogniecione papiery w plastikowej obwolucie. I nagle kolor! Jaskrawy, paskudny fiolet odbijający od szarego tła. To karimata przytroczona do plecaka, zwinięta i umocowana trzema rzemieniami. Fotka karimaty jest wyraźna, niesamowicie wyraźna. Widać, że w jednym miejscu jest wygryziona, w innym naddarta. I już. Chwila, moment i obraz znika. Syn jeździ na TIRach. Kazali mu do Rosji, nie pamiętam dokładnie gdzie, ale w tej miejscowości jakieś blokady były na drogach czy coś podobnego. Po prawej morze, po lewej góry, pośrodku szosa i obok tory kolejowe. Wojsko zaczynało strzelać, szykowało się coś, co potem przerodziło się w wojnę. Ja w strachu. Ten pokój, który widziałam, to pokój wynajmowany przez syna od kiedy się ode mnie wyprowadził. Nie miał ani czasu ani forsy, żeby go urządzić. Były gołe ściany i materac, który zabrał z domu, ale stelaża już nie chciał. Po co dziwkom stelaż? Dzwonię do dziecka i mówię mu: synuś, możesz się wykręcić? Nie masz jakiej grypy albo co? A syn od razu w złości.

– Mama, znowu twoje przeczucia! Wiem, co robię, nie będę się pchał za daleko, mam mety zapasowe na rozładunek, jakby nie było dalej spokojnie. Mam dolary na wziętki i sztraf. I takie sekretne zabezpieczenie od szefa – ale to nie musi cię interesować. A ty i tak nie potrafisz

przewiedzieć co mi grozi! Wypadek, aresztowanie, wojna? Zastrzelą mnie czy utopiają? Taki z ciebie jasnowidz jak z koziej dupy trąbka. Szkoda, bo właściciel zapłaciłby ci niezły szmal, pod warunkiem, że wiedziałabyś wszystko o każdym transporcie. Mówiłabyś szefowi, a ja bym kasował forszę. Ale nie masz co startować, jesteś mikra. Babcia przynajmniej wiedziała, że jak śni się wieniec z białych kwiatów na szyi, to tego spotka niedługo śmierć. I wiadomo było, co grozi! A ty nie potrafisz nawet powiedzieć, co widziałaś!

Obszturgał mnie i wyśmiał, więc nic więcej nie mówiłam. Astrologia nie pozwala przewidzieć tranzytów na moment śmierci, tarot też chyba nie, choć dlatego się zapisałam. A on chciałby przynieść plik fotografii, a ja miałabym mu powiedzieć, który z kierowców ma na szyi biały wieniec cmentarny! Jak moja mama. Właściciel zwolniłby zaraz takiego i przyszczędził na kosztach. Pewnie odpalił by coś mojemu synowi, a ten w abugach przyleciał do mnie z nową fotografią. Obłąd, no nie? Tydzień nie spałam, żołądek się zbuntował, zgaga męczyła, popijałam jak herbatę takie wstrętne mleczko i tak doczekałam się jego powrotu. Śmiał się ze mnie, a sobie kupił za ten wyjazd lodówkę. Wysoką, prawie do sufitu, najnowocześniejszą i najdroższą, jaka była w sklepie, bo gdy się ożeni, będzie jak znalazł, ale wstawił do mnie, bo do wynajmowanego szkoda, ktoś ukradnie albo co. Nocami grzechotało w niej coś, ale to były podobno kostki lodu! Tak miało być!

Za pół roku miał wypadek. W Polsce, nie za daleko, jakieś trzysta kilometrów od nas i na pusto, na szczęście. Połamanego odwieźli do szpitala i zanim zaczęli go składać, zadzwonił do mnie.

– Mama – powiedział – jedź tu i tu; na parkingu policyjnym jest tam ten mój złom i zabierz moje rzeczy osobiste. A najważniejsze, żebyś nie przegapiła, koniecznie poszukaj ładowarki do telefonu i przywieź mi do szpitala. Jak będę jeszcze spał po operacji, to sama podłącz telefon, niech się naładuje, bo bez niego nie porozmawiamy. Bateria już mi siada, rozumiesz? No to pa, zaraz zasnę i może przestanie wreszcie boleć.

Wiózł mnie brat, noc, oczy podpieramy zapałkami, zajeżdżamy na ten parking, walimy w drzwi do upadu, aż zaspany facet wynosi karton. I co powiesz? Wszystko leżało tak, jak na tym widzeniu: szare, brudne, ubłocone jak w czarno białym filmie, nawet krew czarna a nie czerwona, i – fioletowa karimata. Nawet rękaw kraciastej koszuli wystawał spod kłapy! i pętała się kuchenka z jednorazowym nabojem, nawet żelastwo było i papiery, jakieś dokumenty przewozowe i kwity celne. Była też ładowarka, ale w środku, w plecaku, więc na wierzchu nie było jej widać. W szpitalu, w worku mi dali jego szmaty, sama czarna, zeszywniała krew. Wywaliliam to od razu do śmietnika, nie mogłam patrzeć.

Wszystko inne zostawiłam w samochodzie brata, tylko pędzę na oddział na piętro. Pytam, czy syna operacja się skończyła, a pielęgniara na to, że tak. Ale tak niewyraźnie jakoś patrzy, więc pytam, gdzie jego telefon. Ona na to, że przy łóżku. Jeszcze go nie sprzątnęli, choć już ściągali pościel. Na stoliku leżał telefon, więc włączam ładowarkę, jak mi kazał. One patrzą na mnie, jak na głupią i nikt nie wie, jak mi to powiedzieć, co ja już wiem. Nie jestem taka, co wyje i drze włosy z głowy, raczej opanowana jestem, szybko chwytam rozmaite rzeczy, ale nie każdy musi o tym wiedzieć, no nie? Ale synek kazał mi włączyć ładowarkę, więc włączyłam – to było teraz najważniejsze.

Potem jedziemy z bratem samochodem, ja ściskam telefon syna, już naładowany do przesytu. A on nagle dzwoni. Patrzę, SMS. No więc chcę przeczytać: naciskam „wyświetl” i wyświetlają mi się dwa słowa: „to koniec”.

Potem brat mówił, że w zdenerwowaniu coś źle nacisnęłam, albo za wcześnie, i nie przeszedł cały SMS, tylko jego końcówka. Niby, że wiadomość musiała być dłuższa i ją obcięło, ale ja swoje wiem. Nie było w połączeniach odebranych ani nieodebranych, jakby przyszło wprost *stamtąd*. Tyle, że, jak potem obliczyłam, w godzinę po śmierci. Może tyle potrzebował, żeby się wybudzić z narkozy i zrozumieć, co się z nim stało, ale zabrakło mu już siły? Jeszcze raz wyświetliłam ten SMS, ale potem on gdzieś przepadł.

Jeszcze dziś widzę synka, gdy był dzieckiem, jak siedzi przy telewizorze i skręca ucho. Zawsze musiałam mu strącać rączkę, bo ucho puchło i robiło się czerwone. To mu zostało na

zawsze. Teraz też widzę go, jak tam, gdzie jest, skręca swoje ucho i wystukuje esemesa na komórce z mgły.

To teraz ci napiszę, co widziałam, kiedy poszłam z tobą w te durne zawody, a ty zgadnij, o co chodzi i martw się, jak to zrozumieć.

No więc: zjadłam coś, bo nie udaje mi się widzenie z pustym żołądkiem. Musi mi przyjemnie w środku mruczeć, muszę czuć się pełna, choć nie za pełna, lubię gotować i wiem, jakie potrawy pomagają. Zamykam oczy, przyciskam lekko powieki, leciutko i tylko przez moment, żeby wzbudzić obrazy. Ale nie za mocno i nie za długo, bo to, co zobaczyłabym, te piękne zygzaki i wzory, zbyt piękne, żeby były prawdziwe, nie zawierałyby żadnego sensu.

Leżę potem spokojnie i widzę takie coś:

...parujący sagan zawieszony na łańcuchu nad paleniskiem, czyjaś ręka ze szponami zamiast paznokci wrzuca do sagana zdechłego kota, wyglądającego jak szmata ze starego futra. Nie wiem skąd wiem, że to kot i że ten kot jest (przewrotny, złośliwy, paskudny, nieuczciwy, ukryty, oszukany, nieprawdziwy) – wybierz co chcesz; to co czuję, odległe jest od rzeczywistych ludzkich uczuć jak niebo od ziemi.) Rozczochrana dziewczucha, śmierdzi na odległość. Tapla się w błocie, potem zre coś. W błocie tapla się też facet z inną kobitką, zadziera jej spódnicę i majdra pod nią bez entuzjazmu. (złość, niechęć, chciałby jej przywalić, ale i też dostać się głębiej, wierzy w jakąś wzniosłą durnotę ale jednocześnie coś kalkuluje w swojej głupiej łepetynie) – znowu wybierz co chcesz. W końcu twardym łapskiem wciska jej policzek w błoto (może nie lubi, jak na niego patrzy) i robi swoje, szybko i ze złością. Teraz dwa bachory na przyzbie. Umorusane jak nieboskie stworzenia. Spod pieca porwały jakieś śmiecie i wałą się nimi po łbach. Brudne, wredne i odrażające. Jeden pada stuknięty mocno polanem, drugi wrzeszczy. I co mu z tego przyjdzie? I znowu ta rozczochrana dziewczucha. Na oko, jakieś 50 punktów inteligencji i śmierdzi; choć ładna w swoim rodzaju, jest brudna, spocona, mokra i jakby od środka nadgniła. Taka marchew co za długo w piwnicy leżała. Nic dziwnego, że ktoś ją kapie w takim dziwnym, wyrzniętym z drewnianego bała korycie, ale jak tylko wychynie zeń choć odrobinę czysta, ktoś ją smaga po czystym tyłku. W powietrzu wirują ptasie pióra, jakaś baba je zbiera i śmieje się chytrze. Biedny, obdarty chłopiec przemyka się chyłkiem. Na iglaku nad strumykiem czerwienią się jagody. Potem szałas, śmierdzi dymem, pełen staruchów którzy zawodzą i złorzeczą... I jedna baba, co rozmawia ze zmarłymi, bo myśli, że z nimi można się zaprzyjaźnić...

I koniec. Teraz pokaż mi, czy wiesz o co chodzi. Czekam na privie. *Gremolata*.

\*

Najmłodsza starucha umierała pierwsza. Miała najwięcej siły i czepiała się może nie tyle życia, ile swojej nowo uzyskanej ważności i znaczenia. Trudno zrozumieć, ale tak właśnie wyglądało to w oczach czarownicy. Niejedną śmierć już widziała i wiedziała, że umierający różnią się od siebie bardziej, niż żywi. Wielu z nich, podobnie – podejrzewała – jak i ona sama, umrze jak zwierzęta: skulone, zakopane w najgłębszej jamie czy leśnej ściółce, wpatrzone w siebie i w nadciągającą śmierć. Błagające los, żeby nikt im nie przeszkodził, nikt nie zakłócił ich spokoju, nie próbował zatrzymać. Zbierające ostatek sił. aby poddać się nieuniknionemu. Zapadając się w siebie.

Ta kobieta należała jednak do drugiej kategorii. Tłamszona przez całe życie, mimo to czepiająca się go jak tonący brzytwy, jakby te chwile, uzyskane kosztem ogromnego wysiłku, mogły jeszcze coś zmienić w jej życiu. Oczy takich ludzi, obłąkane strachem, krążyły wokół, czepiając się każdego człowieka w pobliżu, chwytając go i usiłując nie puścić. O tych umierających mówiono, że zabierają żywym ich wszystkie siły życiowe, wysysają chęć życia i zdrowie, prowadzą do chorób i bezyli. Jak wampiry. Dlatego właśnie w śmiertelnych szałasach zamykano zdrowych i żywych przestępców lub osoby niechciane w społeczności, przybyszów podobnych Kerze, za którymi nikt się nie ujmował. Na ogół wychodzili z takiej próby z życiem, ale któż to wie, co kto jest zdolny przetrzymać?

Kobieta upatrzyła sobie Kerę. Czarownica przynosząc i zostawiając pod wejściem do szałas potrawy słyszała czasem ich rozmowy. Początkowo Kera robiła tylko to, co uważała, że do niej należy, jak wówczas, gdy była podkuchenną. Przynosiła od wejścia jedzenie, stawiała przy każdej z kobiet nie próbując ich karmić ani nic do nich mówić. Rozpalała ogień we wnętrzu i

podtrzymywała go, żeby umierający nie zmarli. Niektórym było nawet zbyt gorąco, wołali żeby przestać dokładania, ale zwyczaj i rozkazy pana były jednoznaczne. Ma być gorąco. Sterty drewna do palenia zalegały w wejściu do szałas i bez ich zużycia nie było dostępu do jedzenia. Jeśli Kera ociągała się z dokładaniem do ognia ponaglano ją i wpychano przez wejście następne sterty. Groziło to zapaleniem i spaleniem całego szałas, gdyby sterta połączyła się z paleniskiem, więc Kera musiała szybko je zabierać. Nie mogła zrozumieć do czego był potrzebny ten upał i strugi potu oblewające wszystkich, umierających i ją, żywą, osłabiając ich i mącąc im w głowach. Może właśnie po to?

Umierający na ogół nie chcieli jeść, leżeli cichutko skarżąc się czasami i jęcząc, ale tylko najmłodsza z nich wkrótce zdominowała wszystkich. Była to mała, chuda, bardzo szpetna kobieta o nogach grubych jak drewniane kłocę, spuchniętych, sinych i owrzodzonych. Cierpiała straszliwy ból, bowiem ze wszystkich otworów jej ciała sączyła się krew, czarna i skawalona, a mimo to jej dusza trzepotała się w ciele z niesłychaną i wściekłą siłą. Nieustannie dzień cały krzyczała, rzucała klątwy i obelgi na wszystkich, którzy byli z nią w szałasie, oskarżała ich, że zabierają jej powietrze i światło, że chcą jej śmierci i żeby jak najszybciej przestała im dokuczać. Trzymała się życia pazurami z taką złośliwą wrogością wobec wszystkich, że mogło zdawać się iż jej celem jest osłabić otoczenie i wyrwać mu każdą, najmniejszą nawet cząstkę życia, jakby można było przywłaszczać sobie cudze życie

Wśród straszliwych majaczeń dobrała się do Kery. Opowiadała, że tam, dokąd idzie, trafi także nienarodzone dziecko Kery, to, które zamordowała w ubiegłym roku skacząc ze stogu, gdy mąż jej pokładał się w bruździe z sąsiadką. Musiało w tym tkwić coś z prawdy, choć Kera z niczego takiego nie zwierzała się czarownicy, ale jej wstyd i rozpacz mówiła sama za siebie. Płakała, nie chciała, żeby jej dzieciątko trafiło do tego samego miejsca, co paskudna starucha, ale nie miała jak temu przeciwdziałać. A ta opowiadała z coraz większymi szczegółami jak to dziecko (które rzekomo zdążyło już od tamtego czasu urosnąć) wygląda, jak baraszkuje na niebieskiej trawie ciągnąc za sobą połamaną nóżkę, którą zawdzięcza matce. Opowiadała, że już teraz go widzi w snach, i że gdy trafi tam, gdzie razem będą przebywać, zaprzyjaźni się z chłopcem, podwiązuje wstążką wyłamaną szyjkę i zastąpi mu wyrodną matkę. Będzie go pieściła, całowała, głaskała po biednym cierpiącym ciałku. Snuła opowieść o tym, jak wyda dziecku wszystkie paskudne tajemnice jego rodziców i dziadków, jak w miarę dorastania dziecka przekaze mu całą swoją złość na świat i na Kerę, która nie chce ulżyć jej cierpieniom. Nauczy go wszystkich wredności i paskudztw. I wówczas namówi chłopca, który w międzyczasie nieco już dorośnie, żeby powrócił na świat i zgotował zemstę rodzicom. Twierdziła, że Kera, skacząc ze stogu, zaburzyła naturalny porządek rzeczy, wytłoczyła w przypisanej rzeczywistości dziurę, jaką czasem czyni duże zwierzę w pajęczynie i że ta dziura nie da jej nigdy spocząć i spokojnie zasnąć. Kera szlochała i jęczała, ale starucha nie miała zamiaru zostawić jej w spokoju. Przypomniała dziewczynie jej babkę, słodką i kochającą staruszkę, która wcale nie była taka słodka i kochająca i którą także po śmierci odnajdzie. A gdy ją spotka, zapyta dlaczego oszukiwała Kerę uśmiechając się do niej i tuląc, a myśląc tylko o tym jak odciągnąć ją od jej matki i wychować w nienawiści do jej rodzicielki. Ją też, tę babcie fałszywą i perfidną, miała zamiar przeciągnąć na swoją stronę i skłonić do powrotu na ziemię w postaci demona, żeby ukarać Kerę.

Tego już czarownica nie mogła wytrzymać. Uważała się za lepszego przeciwnika dla tamtej wiemy niż nieszczęsna dziewczyna. Nawet trochę pociągało ją zmierzenie sił z tamtą, tak niewielu spotykała wrogów zasługujących na pojedynek i jednocześnie pozbawionych możliwości stosowania przemocy. Każdemu, a zwłaszcza mądrej czarownicy życzyć takiego! Wywlokła szlochającą dziewczynę z szałas i sama weszła na jej miejsce. Kazała Kerze uciekać i czekać na nią w lesie. Pocieszyła, że niedługo, najwyżej trzy dni, ale była niespokojna, czy tamta przez te trzy dni nie oszaleje. Kera też to rozumiała. Wierząc groźbom staruchy bała się wyjść z szałas niepewna niczego, skołowana i przerażona. A jeśli spełni swe zamierzenia, a czarownica nie zdąży jej odwieść od podłych zamiarów, zanim nie umrze? I jak zachowa się po śmierci, gdy żadna z nich nie będzie już miała na nią wpływu? Zostały więc w środku z umierającymi obie, Kera i czarownica, a ta ostatnia wiedziała, że ma dwie przeciwniczki do pokonania: staruchę i Kerę, a

może nawet trzecią, ją samą, czarownicę, która odwykła od ostrej walki i ryzykownych zmagania, uspokojoną przez lata starą babę, przyzwyczajoną do powolnej nudy i braku wyzwania.

Niedługo już trwało, kiedy zostały w szałasie tylko obie z Kera i z tą wiedźmą. Czarownica szeptała na ucho Kerze, że są umierający ludzie, którzy potrafią wyssać z otoczenia wszystkie siły, ale żaden z nich nie potrafi ich wykorzystać. Kiedy więc odosobnienie w szałasie skończy się, niezależnie od tego, czy stara przeżyje czy nie, ich siły powrócą. Jest też nadzieja, że wszystkie ich groźby są puste i bez pokrycia, niemożliwe żeby w zaświatach rządziły takie wredne, pozbawione dobra osoby. Nawet tu, na ziemi, każde państwo rządzone wyłącznie nikczemnością upada wcześniej czy później, gdy już nikt takich rządów nie może znieść. Demony panują niedługo i to tylko nad tymi, którzy się ich władzy poddają.

Kera trochę uspokoiła się. Myła ciała zmarłych, zamykając w ich martwych dłoniach kromki chleba na daleką drogę, zaszywała je w całuny i wynosiła przed szałas, gdzie leżały czekając w szeregu na pochówek, niczym uśpiona warta, którą już zluźowano, ale tak karna, że nawet śniąc nie zapomina o nawykach.

Umierająca tymczasem przestała się interesować Kera, chyba, że przypominała jej, aby porządnie ją zaszyła i nie zapomniła zamknąć w dłoniach zamiast chleba kawałka mięsa, bo na czekającą ją drogę chce mieć znacznie więcej siły. Swoje zainteresowanie przeniosła za to na czarownicę. Twierdziła teraz, że jest posłanką od zmarłej matki czarownicy i stanowi konieczny most ich wzajemnego porozumienia... Obiecywała, że spotka się z jej matką i będzie pośredniczką między nimi. Bez niej czarownica nie dowie się tego wszystkiego, co pragnie poznać. Mimo, że ta myśl była dla czarownicy odrażająca, jednak pociągała ją też w dziwny sposób i zaczęła bawić się w tę grę.

– Jeśli jesteś tak zaprzyjaźniona z moją matką, powiedz mi, jak ona wygląda, w co jest ubrana i co mówi do ciebie.

– Phi – parskała tamta – ona przychodzi do mnie w snach i mówi mi różne rzeczy, a ja jej słucham, a nie przyglądam się. Niby jak ma być ubrana? W coś tam ją zakutali, ci co jej pilnują

Czarownica roześmiała się.

– Każdy tak potrafi zmyślać, jak ty teraz! Nie jestem głupia młódka, mnie nie zwiedziesz. Możesz tylko leżeć i czekać na swoją śmierć i udawać, że coś wiesz.

– Zawsze kobiety pytają o swoje imię. Głupie idiotki! Tak powiedziała twoja matka do mnie wczoraj. Pewnie dzisiaj pokaże mi, jak jest ubrana, skoro na stare lata tak cię to obchodzi. Daj mi zupy, prześpię się i ci powiem. – oznajmiła szperając wokół siebie ręką i szukając swojej łyżki.

W końcu zasnęła. Kera przycupnęła obok czarownicy u wejścia szałasu, skąd czuły powiew świeżego powietrza, bowiem dzień był wietrzny i dżdżysty. Oparła się o jej ramię, bezbronna i zmęczona. Najwyższy czas, uznała czarownica, żeby porozmawiać z nią na serio.

– Skąd dowiedziałas się o możliwej przyszłości swojego syna? – jej głos był cichy i łagodny, ale stanowczy. – Czy w taki sposób jak dowiedziała się tamta starucha, we śnie lub wizji?

Kera milczała, potem wzdrygnęła się. Czarownica wiedziała, że nie chce nic mówić, ale jeśli obie miały odnieść jakiś pożytek z tej wyprawy, musiała wiedzieć wszystko. Znać całą prawdę o drogach, jakimi to obce i niezrozumiałe trafiło do nich. Nie mogły dłużej plątać się po bezdrożach zdarzeń, natykając się na przypadkowych ludzi i ich przypadkowe sprawy, cierpieć z powodu wirów w cudzych stawach i zgnilizny w cudzych stodołach. Przed jej oczami na moment pojawił się krzak obsypany czerwonymi jagodami i wiedziała już, że także to, co ona widzi, pochodzi z obcego umysłu.

Całe życie chciałam być prawdziwą czarownicą, myślała, przywoływać na swoje usługi wszystko, co mnie otacza, czytać z rzeczy i zdarzeń to, co niesie ze sobą przyszłość, wróżyć z lotu ptaka, ruchów pajaka i wyglądu krzaka ostu, a teraz, gdy mnie to spotyka, boję się, bo to, co przychodzi jest Obce. Oczywiście, musi być Obce. Ja jestem zwyczajną babą, która lubi kapuśniak i kminek w nadmiernych ilościach, choć jestem otwarta na to wszystko, co Obce chce mi przekazać. Czy ono musi jednak myśleć inaczej niż ja? Mnie nie obchodzi od czego zmarła gospodyni, choć obchodzi mnie, kto ją zabił. To Obce jednak uważa za ważniejsze powiadomienie mnie, od czego umarła ta nieszczęsna kobieta niż to, kto jej śmierć spowodował. Może wodzi mnie tylko za nos? A

może chcąc, żebym wiedziała więcej niż potrzebuję, próbuje zmusić mnie do czegoś, przed czym się wzdragam? Może pokazuje mi oczywistość tego, że takim podstarzałym gospodyniom grozi zawsze niebezpieczeństwo, gdy w pobliżu nad rzeką rośnie kłujący krzew cisu?

– Opowiadaj, Kera – zachęciła dziewczynę szturchając ją w plecy – mów póki tamta śpi i zajęta jest ustalaniem, w co ubrana była moja matka ponad pół wieku temu.

\*

Powinłam napisać do Gremolaty, ale mam doła. Czasami myślę, że lepiej było użerać się w tym markecie. Tam ja rządziłam. A tu? Tydzień pracowałam nad projektem umowy, przetłumaczyłam z naszego na obcy, który znam słabo, musiałam więc znaleźć tłumacza, który to sprawdzi za frajer, potem, jak zwykle dałam do wiadomości według stałego rozdzielnika i na koniec, gdy nie dostałam uwag, włożyłam prezowi w teczkę do podpisu. Sekretara obiecała, że pójdzie szybko, jak tylko można. Zmieściłam się w czasie, odwaliłam kawał roboty, wszystko przewidziałam, nawet to, co ma być drobnym drukiem, z wyjątkiem tego, że zmienił się szef jednego działu.

Wzywa mnie sekretara, poszłam więc do preza ze stertą papierów i słownikiem. Dzieńdobry, dzieńdobry, pan mnie prosił? On zaś na to wałąc papierami przez stół z takim poślizgiem, że musiałam z afgana zbierać:

– Co mi pani przesyła jakieś śmiecie! Już dawno informatyka przysłała tę umowę do podpisu!

Ale perfidia! Takiego miłego, naszego Jasia zastąpił siostrzeniec burmistrza, gówniarz świeżo po studiach, ale zdążył już zaliczyć pół roku w ministerstwie, aż go stamtąd wygonili, bo ekipa się zmieniła. Mówię więc prezowi:

– To jest **moja** umowa. Informatyka dostała ją tylko do zaopiniowania, a nie do podkładania panu do podpisu, a mnie jako świni!

– Ja się tam nie mieszam w wasze majtkowe sprawy – mówi z niesmakiem prezo. Mówili mi, że pani nadmiernie się lubiła z poprzednikiem pana C, nic więc dziwnego, że źle znosi pani zmianę na stanowisku. Jeśli pani mówi prawdę, to powinna się pani wstydzić, frajerzy zawsze zasługują na naukę. Jakby nie było złodziei, to ludzie by domów nie zamykali he, he. I ślusarze by zbankrutowali, a bezrobocie rosło he, he. I takie ładne kobitki, he, he, musiałyby siedzieć w domu.

Mówię sobie: Gremolata przeżyła gorsze i to nie odebrało jej daru, choć pewnie też powtarzała, na co jej to? Mnie też, mam nadzieję, nie odbierze. Tylko myśl pozytywnie dziewczyno, zdobywaj nowy zawód; tworzy się dochodowa nisza rynkowa, jasnowidzenie biznesowe, wpasuj się w nią, a pluj na resztę. Będiesz ściągająca kasę z takich prezów. Nie trzeba wielkiej sztuki, żeby wiedzieć, jakie mają uprzedzenia. Tarotowa Wieża uczy, że wszelkie ludzkie przedsięwzięcia dochodzą do pewnego stadium... Jak do ciebie przyjdą po wyrocznie, to już wiadomo, na jakim są etapie. Pieniążki na stół, a ja wam powiem wszystko, co chcecie. O cyklach wahań cen złota, o słabych stronach waszej firmy, o tym, co w niej macie naprawić... Czy niedomaga czynnik ziemski czy powietrzny? Co lepsze, akcje czy fundusze? Zwolnić ludzi czy zmienić siedzibę? A może zająć się panią od podatków?

Ale teraz nie mogę o niczym myśleć, tylko o tym wrednym, chudym padalcu. Czy taki był zawsze, czy tak w ministerstwie pogrywano i się nauczył bezczelności, nie liczenia się z tym, że ktoś mógł uwierzyć mnie, a nie jemu? Zmartwienia, zmartwienia... Czym się martwi ta moja baba z szałas, której do licznych i banalnych nieszczęść (sądząc z wyglądu), jak głód, chłód i brak ciepłych ciuchów, doszło pragnienie poznania imienia czarownicy? Co ona może mieć za zmartwienia?! I co jej z tego przyjdzie, jak dowie się, że jest dzieckiem bóstwa? Czy bóstwa są komuś do czegoś potrzebne? Uchronią cię przed perfidią, złą wolą i chamskim poczuciem władzy? Dadzą siłę czarów?

\*

– Ta sąsiadka – ciągnęła Kera skręcając ucho w rulonik – przychodziła do matki mojego męża już wcześniej. Chustkę wiązała tak, że wystawał spod niej kosmyk włosów. Mnie za coś takiego teściowa nie żałowała by kuksańców, ją jednak chwaliła, że taka pracowita i szybka i nie ma czasu przeglądać się w lusterku. Teść także jej kadził, za gospodarność i posłuszeństwo. Tylko mojemu

mężowi się nie podobała, mówił, że jest fałszywa i przebiegła. Cieszyłam się, kiedy patrzył na nią złym wzrokiem, gdy usiłowała go zagadywać i w czymś przeszkadzać. Nie chciałam, żeby ją pożądał, jakby to było najważniejsze.

Sąsiadka była wdową i miała pieczę nad starą matką, a właściwie matką męża. Miała sporo ziemi, swojej i po mężu, ale uprawiała tylko niewielki ogródek żaląc się, że brak jej siły podolać wszystkiemu. Ziemię dzierżawił mój teść i płacił jej za to ziarnem ale teściowa coraz to coś jej podrzucała, a to jajka, a to kawałek pasztetu z zająca, wszystko niby dla jej staruszki, z którą w młodości była zaprzyjaźniona. Mnie się zawsze wydawało, że staruszka była głodna i nic z tych jajek czy pasztecików do niej nie trafiało. Kiedyś spotkałam ją w ogródku, gdy pchała do ust pęki liści szpinaku ale nie mówiła, więc nie odpowiedziała mi kiedy zapytałam czemu tak je zjada na surowo. Zniosłam jej kawałek ciasta, ale tylko patrzyła na mnie bez słowa, ze strachem. Diabli wiedzą, czego się bała. Jednak ciasto zjadła w mig. Tak to rzadko wychodziła z domu, a kiedy nikt jej nie widział, wszyscy o niej zapominali.

Kiedyś usłyszałam jak teściowa z teściem naradzali się, jak by tu sprawić, żeby sąsiadka sprzedała im ziemię. Podobno nawet o tym z nią rozmawiali, ale ona powiedziała im, że jest jeszcze młoda i być może znajdzie sobie męża, ale większe szanse na zamażpójście ma z ziemią niż bez. Pewnie i proponowali jej, żeby została drugą żoną ich syna, a mojego męża, ale nic dziwnego, że nie chciała. Po co jej ktoś z rodziną, kiedy może mieć takiego, którym sama będzie rządzić. Owszem nie była od tego, żeby nie zawrócić w głowie jednemu czy drugiemu, dziewczęctwa od niej przecież nikt już nie wymagał.

Miałam więc na nią oko od początku. Pewnego dnia przyśniła mi się ta jej teściowa staruszka. Siedziała przed domem i kapała w cebrzyku małe dziecko. Dziecko wydzierало się, chlapało wodą, ruchliwe i nieznośne. Nagle zaczęło mnożyć się, przeradzać w stado identycznych dzieci, wrzeszczących i wściekłych, domagających się czegoś nieustannie. Masa tych dzieci w końcu przykryła kobietę tak, że widać było spod nich tylko czasem kawałek nogi lub ręki. Gdy już wydawało się, że całkiem ją zaduszą, dzieci uformowały łańcuszek powiązanych za rękę mokrych stworzeń, ciągnących ją gdzieś, w stronę horyzontu. Potem sen mój zmienił się. Byłam w ciemnej jaskini. Stałam przed otworem, w którym ginął łańcuszek dzieci, ciągnących starą kobietę. Staruszka jeszcze na chwilę odwróciła się i usłyszałam jak mówi: twoje dziecko wylania się z jaskini twojego łona, a potem jaskinia ta wciąga twoje łono i twoje dziecko i ciebie wraz z nim. Czemu służy to nieustanne koło żądań i odpowiedzialności? Czy nigdy nie ma końca?

I znowu sen zmienił się. Inna kobieta, młodsza, ale dziwnie ubrana, siedzi w dziwnym powozie pędzącym tak szybko, że drzewa umykają, zanim rozpozna się ich nazwę, ściskając w dłoni nieznaną przedmiot i szepcze: Koniec...koniec... Kto to wysłał? Kto napisał? Czego chce ode mnie?

I widzę siebie znowu w jaskini, jak tłumaczę tym dzieciom: – Czy wasze żądania są sprawiedliwe? Czy musicie tak męczyć waszą matkę? A dzieci odpowiadają mi: zobaczysz sama, jak zostaniesz matką. I opowiedziały mi wszystko o moim przyszłym dziecku, o jego charakterze, kłótności, o sporze z dzieckiem sąsiadki. Wszystko, co ci kiedyś opowiedziałam, a może jeszcze więcej, ale już nie zapamiętałam, tak się przeraziłam.

– Sny nie zawsze mówią prawdę – mruknęła czarownica – najczęściej to, co sobie w głębi duszy wymyślisz i tak się w ten wymysł zapędzisz, że zapomnisz o rzeczywistości. To żaden dowód, że tak będzie.

– Nie – zaoponowała Kera. Ten sen nie był moim wymysłem. Poszłam rano do sąsiadki pod jakimś pretekstem, chciałam porozmawiać z jej teściową, ale sąsiadka powiedziała mi, że w nocy umarła. To było więc tak, że umierając jakby zatrzymała się w progu, żeby mnie przestrzec. Ja jej wierzę. Może sąsiadka ją udusiła i ona umierając myślała o niewdzięcznych dzieciach i kiedy jej dusza wyszła z ciała uczepiła się wszystkich niewdzięcznych dzieci w okolicy i trafiła na mnie pokazując mi, jaka niewdzięczność może mnie spotkać ze strony mojego dziecka... Tak, myślę, że tak było.

– Byłaś niewdzięcznym dzieckiem? – zainteresowała się czarownica. Tak naprawdę niezbyt ją to ciekawiło, sama nie miała okazji takim dzieckiem zostać. Ale przyjemniej było rozmawiać z



Kerą niż z umierającą staruchą.

Kera rozszlochała się.

– Ja nie chciałam być taka – ale to było bez mojej woli. Tak po prostu się stało. Kiedyś, gdy byłam jeszcze dziewczynką, zobaczyłam jak matka stoi na podwórku i rozmawia z jakimiś przybyszami z daleka. Ja huśtałam się na konarze drzewa stojącego za płotem, gdy matka mnie zawołała. Kazała mi przynieść ze studni wody aby napoić przejezdnych, ja jednak się ociągałam. Konar był wysoko, nie chciało mi się złazić na dół więc udałam, że mnie nie ma. Matka źle widziała, mogła więc mnie nie zauważyć. Wołała mnie jeszcze przez chwilę, ale kiedy nie zjawiłam się poszła sama z przybyszami do studni na podwórku. Widziałam wyraźnie jak schyliła się nad cembrowiną wyciągając wiadro i wtedy jeden z przybyszy uderzył ją kamieniem w głowę i wrzucił do studni. Spłądowali potem chałupę wynosząc z niej skóry i narzędzia ojca i inne rzeczy, które chcieli, a ja nadal bałam się zejść z drzewa. Kiedy odjechali wreszcie prowadząc juczne zwierzę na postronku ja jeszcze czekałam chwilę zanim zesłam z drzewa. Sąsiedzi wyciągnęli mamę, ale już nie żyła. Może gdybym przyszła jak mnie wołała napiliby się wody i dali mamie spokój? Może ich też zdenerwowało, że byłam nieposłuszna i chcieli mnie ukarać?

– Chyba jesteś głupia – odezwała się z niesmakiem czarownica. – Tak myślałaś jako dziecko, ale teraz jesteś dorosła. Gdybyś przyszła, zabili by i ciebie, żebyś nie narobiła wrzasku. Te wrzeszczące dzieci w twoim śnie mogły mieć rację. Jak dziecko może czegoś domagać się dla siebie? Tylko wrzeszcząc. Gdybyś zaczęła kłócić się z matką siedząc bezpiecznie na tym drzewie może byś jej lepiej się przysłużyła. Chyba, że mieli łuki, ale tego nie mogłaś wiedzieć. W każdym razie jednak słusznie zrobiłaś, że jej nie posłuchałaś. Posłuszeństwo zabiłoby i ciebie.

Myślała jednak o czymś innym. Jak bardzo zapętlona może być rzeczywistość! Poznaje się jakieś skrawki, czuje się, że są ze sobą powiązane, ale nikt na świecie nie wie jak.

\*

Umierająca zbudziła się. Rzuciła przez chwilę głową po posłaniu i jęczała. Czarownica zaniósła jej trochę wody w czarce, ale kobieta przytrzymała jej rękę.

– Gospodyni powiedziała, że jestem złodziejką. Kazała mnie wychłostać. Och jak mnie bili, jak mnie bili...

– Napij się. Już niewiele bólu przed tobą, wytrzymaj jeszcze trochę. Może zdarzyło się ci i coś dobrego, pomyśl może i o tym dobrym.

Nie wydawało się, żeby kobieta ją słyszała. Wysłuchana w swój niegdysiejszy ból ciągnęła jednym tchem.

– Mieli takie rzemienie z supłami, a w każdym suple tkwił cierń. Wołali, żebym wydała, komu sprzedałam ukradzione, ale ja nawet nie wiedziałam co ukradli... Och jak mnie bili, jak strasznie bolało... Moje oczy wyskoczyły i turlały się po śmierdzącej ściółce, do mojego brzucha wpelzały moje biedne ramiona, mój język przebijał się przez szyję, a zęby wypelzały przez nos... Twoja mamusia miała sukienkę grubo tkaną z płótna, jedną połowę farbowaną na czerwono, drugą na niebiesko. W rękę miała dwa dzbany, przelewała chłodną, ożywczą wodę z pustego w próżne, a na głowie wianek z liści i kwiatów. Zapomniałam od tego bicia jakie miała imię, a gdy chciałam sobie przypomnieć zobaczyłam brzeg rzeki i nadrzeczne bagna. Chciałam taplać się w ciepłym błocie, obłożyć błotem moje krwawiące ciało, ale nie mogłam nachylić się do tego miękkiego błota, chociaż twoja mamusia mnie do tego zachęcała, zamoczyła nawet kraj swojej sukni i podsunęła jeden ze swoich dzbanów bliżej mnie. Zobaczyłam wtedy u jej stóp zielony krzak i piękne czerwone jagody... Twoja mama miała czarne włosy przeplecione warkoczem z sitowia, a jeden dzbanek był dziurawy i do niego przelewała taką pięknie czystą wodę, a ta woda wylewała się dziurą i ginęła w bagnie. Twoja mamusia powiedziała tak jakoś niezrozumiale: kto nie pojmie ciszy, nie pojmie też słów. W końcu wyrzuciła oba dzbanki.

– Powiedziała jak mam na imię?

– Powiedziała... tak...

– ?

– ...

\*

Gremolata napisała do mnie, zanim ja się, świnia jedna, odezwałam się do niej.

„... Na ascendencie masz teraz oprócz Plutona (to długotrwały aspekt) wzmacniające Ciebie Słońce, Merkurego i Jowisza (one szybko się rozejdą). Wzmacnia, ale ze względu na opozycję do Marsa – wprowadza napięcie, które jest zwielokrotnione Plutonem. Opozycja Marsa z Plutonem będzie trochę trwała. Mars się teraz cofa i znowu przybliży się bardziej do Twojego Descendentu. Mars w Twoim przypadku przyciąga ostre sytuacje, ale i dodaje sił do radykalnej zmiany. Walcz więc, nie poddawaj się! Całe to stellum Plutonowo-Słoneczne jest w harmonijnym trygonie do Twojej koniunkcji Jowisza z Marsem. A Mars jest w trygonie do Twojego Księżyca na MC. Saturn jest w trygonie do Twojego Słońca. A Neptun jest w trygonie do Twojego trygonu Wenus z Plutonem tworząc razem Wielki Trygon. Stellum plutonowe jest w kwintyle do Twojego Plutona. Masz tranzyty na wielką moc i energię...”

Mimo wszystko, chciałabym, jak ta kobieta z wizji, pochodzić od bóstwa, nawet nie wiedząc o tym. Pewnie czułabym jakąś boskość w sobie, no nie? Może wytrysnęłaby z mojej ręki i trafiła w tego C? Może zrobiłaby to z taką siłą, że wszystko wokół rozprysło by się na amen? Kto nie pojmie ciszy, nie pojmie też słów – tak napisano na dole mojego kalendarza ze zdzieranymi kartkami. Ale kto pojmie wrzask?!<sup>1</sup>

\*

Dwie zmęczone i wynędzniałe kobiety siedziały przed szafasem, w którym nie było już żywych.

- Czas wracać do domu – oświadczyła czarownica Kerze
- Wracać? Po co?
- Chyba czujesz, że nie jesteś na swoim miejscu?
- I co tam mam dalej robić?
- Odgrzebać to, co zakopane w piasku.

Kera wzruszyła ramionami, ale nie powiedziała już nic. Tutaj nie warto było zostawać, tak czy inaczej. Stara musi się gdzieś zatrzymać, zanim dołączy do innych po tamtej stronie, ale ona jeszcze nie. Jeszcze.

---

<sup>1</sup> Autorem sentencji o ciszy i słowach jest podobno Piccolo Tomasseo – postać raczej nieznaną

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

# Fantastyka w nowej formie

Oficyna wydawnicza

RW2010

Dobre ebooki  
w dobrej cenie

[www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)